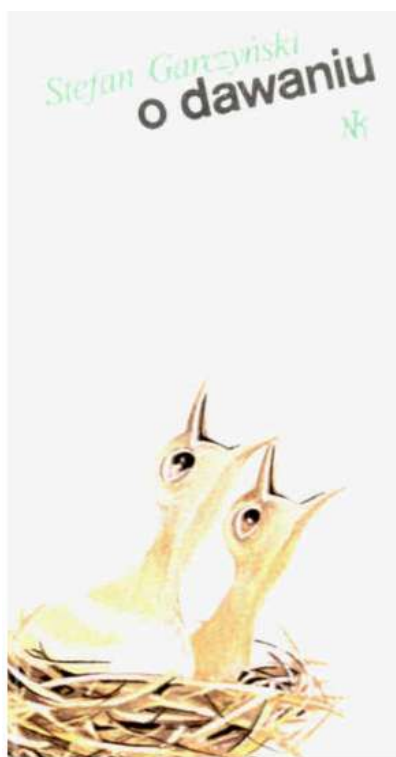




O dawaniu

Stefan Garczyński



O DAWANIU - Stefan Garczyński

Warszawa, grudzień 2017

O dawaniu

Autor: Stefan Garczyński

Copyright: Stefan Garczyński 1985

Prawa majątkowe: Katarzyna Dąbrowska-Zielińska, 2006.

Wydawca: Katarzyna Dąbrowska-Zielińska i Leszek Korolkiewicz, admin@stefangarczyński.pl

Na podstawie I wydania książki: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1985.

Ilustracja na okładce – z pierwszego wydania.

Adaptację i nowy skład opracował Leszek Korolkiewicz.

Niniejsza wersja – grudzień 2017- jest aktualizacją pilotowego e-booka z marca 2006, Warszawa.

ISBN ... (będzie nadany)

Ta wersja pilotowa (PDF) jest do użytku własnego - dostępna oryginalnie ze strony

<http://stefangarczyński.pl/utwory/o-dawaniu-prezentacja-ksiazki/> .

Docelowa postać elektroniczna (różne formaty) i druk na zamówienie - Ridero.pl oraz księgarnie internetowe, będzie mogła być swobodnie udostępniana pod warunkiem zachowania całości i powołania źródła.

Słowo od wydawcy

"*O dawaniu*" jest jedną z książek z serii dzieł Stefana Garczyńskiego, które chcemy przypomnieć po dłuższej przerwie wydawniczej i na nowo szeroko udostępnić za pośrednictwem Internetu. Jest dostępna jako e-książka (e-book) oraz jako książka drukowana – druk na zamówienie poprzez wydawnictwo Ridero.

Książki Stefana Garczyńskiego niewątpliwie zasługują na przypomnienie, Autor dotyka w nich problemów istotnych dla każdego człowieka: jak dobrze żyć, jak układać poprawnie relacje w rodzinie i w społeczeństwie, jak się uczyć, jak sprawnie myśleć i nie popełniać błędów, jak dyskutować itd. - wszystkie te tematy przedstawiając w popularnej i lekkiej formie, przesyconej kulturą, humorem i błyskotliwością.

Ta niewielka książeczka jest psychologiczną rozprawką spełniającą prawie rygory naukowe - systematycznie rozpatruje najróżniejsze aspekty tematu i powołuje liczne źródła, w tym naukowe. Jest doskonałym materiałem pomocniczym dla studentów i uczniów, którym przyjdzie zająć się tematem cnót altruizmu, skromności, współodczuwania, uczynności, dobrych manier itd.

Gdy czyta się o tych cnotach i ich niuansach, to jakby robiło się rachunek sumienia: a jaki ja jestem? Jest to książka dla młodzieży ale także rodziców, którzy chcą wszczepić dzieciom wartościowe zasady.

Widać też, jak modne dziś pierwiastki ezoteryczne o wspólnocie dusz, o tym, że bliźni jest innym ja - są stare jak świat. Ale warto o nich przypominać.

Od powstania książki minęło ponad 30 lat; dla młodzieży niektóre okoliczności (PRL-u), czy sformułowania "kapitaliści to i to..." wydadzą się dziwne, ale sam temat jest ... nieśmiertelny.

Sylwetka autora przedstawiona jest na stronie internetowej www.stefangarczyński.pl , tamże będą prezentowane dalsze pozycje wydawnicze, archiwum artykułów autora oraz opinie, recenzje i wspomnienia o Panu Stefanie.

Tę książkę, zgodnie z tytułem, dajemy Ci, drogi Czytelniku jako zachętę do poznania Autora i Jego dzieł.

Warszawa, grudzień 2017

Spis treści

Od autora

POBUDKI I RACJE DARU	4
Od nigdy do zawsze	4
Co dla jednych zbyt łatwe, dla innych zbyt trudne	4
Wielość pobudek	5
Zbieżności i zdarzenia	5
Wyroki pochopne	6
Temat krępujący	6
Okoliczności	7
Interesowność	12
Normy	16
Miłość i dobroć	22
Race filozoficzne i religijne	33
Powiedziałem w tej pierwszej części	41
PRZEDMIOT I SPOSÓB DARU	42
Dawniej i obecnie	42
Najbardziej udane	44
Rzeczowe i nierzeczowe	45
Wartości małe i duże	47
Wartości przydaje	49
Wartości ujmuje	53
Dar w rewanżu	56
Powiedziałem w tej drugiej części	58

Spróbuj, jak ci się nada życie człowieka dobrego.

MAREK AURELIUSZ

OD AUTORA

Mówi się, że daje nie ten, kto ma, ale ten, kto chce dać, ale dlaczego jeden chce i umie dawać czy pomagać, a drugi nie? Skąd się bierze to „chce” i na czym polega to „umie”?

Faktem jest, że jedni dbają tylko o własne interesy, a inni poświęcają czas, energię i środki materialne dla dobra innych. Warto poznać, co do altruizmu zachęca, a co zniechęca — przecież łatwość i umiejętność dawania wzmacnia międzyludzkie więzy, współdecyduje o wartości i radości życia. Odpowiedzi na te pytania mogą przyczynić się nie tylko do usprawnienia naszej własnej sztuki współżycia, ale także mogą podpowiedzieć najwłaściwsze metody wychowania człowieka społecznego.

Pobudki i racje daru

OD NIGDY DO ZAWSZE

Zadziwiająca rozpiętość postaw — od tych, którzy nigdy nic sami z siebie nie dają, do tych, którzy zawsze dają:

A — nigdy nie pomoże, a „da tyle, co wesz nakaszle”. To, co ma, ma dla siebie, i basta. Mieszkając u przyjaciół ani myśli, by pomóc w sprzątanii lub w zakupach. Żyje według przysłowia: „Gdy brać — bracia, gdy dać — nie ma braci”. Oskarżony o sobkostwo tłumaczy: „Tak nazywają mnie ci, którzy chcieliby mnie wykorzystać, ale ja nie jestem głupi”.

B — daje i pomaga na odczepnego, dla świętego spokoju, gdy go przycisnąć, gdy nie może wykręcić się sianem.

C — owszem, daje, owszem, pomaga, ale tylko wtedy, gdy go to niewiele kosztuje. Zapłaci rachunek, bo i swój będzie płacić. Najhojniej daje... słowa.

D — daje zdawkowo, ogranicza się do konwencjonalnych prezentów przy konwencjonalnych okazjach. Daje, bo tak wypada: skromny kwiatek, gdy przychodzi w odwiedzinę; kosztowniejszy, gdy — na obiad.

E — daje i pomaga, ale tylko wtedy, gdy uważa, że się należy, i tyle, ile się należy. Choć bywa skłonny do zaniżania oceny tego, co się należy, to jednak zasługuje na sporo szacunku — jest skrupulatny.

F — bywa nawet szczodry, gdy taką przyjmie zasadę, tylko że jego aspiracją nie jest pragnienie sprawienia komuś ulgi lub radości, a tylko surowe i chłodne poczucie obowiązku. W jego „ja ci to załatwię” brak ciepła, nie czuje się dobroci. Na obietnicę:

„Pozostaw to mnie, ja ci to załatwię, to mój obowiązek” — wiele osób reaguje gwałtownym: „Nie trzeba!”. „Powiedziała — gniewała się znajoma — żeby nie przychodził do mnie do szpitala, bo pamiętam, jak kiedyś narzekał, że nosi obiady chorej babci”.

G — daje tylko bliskim lub tylko osobom zaprzyjaźnionym. „Dwa razy spotkałam ją za granicą, a teraz chce, żebym jej zamówiła hotel w Warszawie. Nie mam czasu”.

H — daje i pomaga, lecz tylko w wyjątkowych okolicznościach. W deszczową noc ofiaruje się transportować chorego ze schroniska do szpitala, ale obojętnie minie obładowaną kobietę na schodach. („A przecież trudność nie polega na tym, by być dobrym, ale na tym, by być dobrym w warunkach, jakie życie na nas nakłada” — Jean Rostand).

Do jakiego typu jesteś najbardziej podobny? (W samoocenie uwzględnij skłonność do retuszowania autoportretu...) ...a przy okazji zastanów się i nad tymi typami ludzi — do którego jesteś najbardziej podobny.

CO DLA JEDNYCH ZBYT ŁATWE, DLA INNYCH ZBYT TRUDNE

Zadziwiająca jest też rozpiętość postaw osób biorących.

A — odnosi się z ogromną serdecznością i grzecznością do osób, które mogą coś dla niego zrobić, a chłodno, nawet opryskliwie do tych, po których niczego się nie spodziewa. Gdy nie widzi interesu, nie widzi człowieka. Jest żywą ilustracją porzekadeł: „Nie słyszy »daj«, ale słyszy »na«”, „Ma tylko dwie ręce: jedną do brania, drugą do trzymania”, „Prosić go o co to jakby wiercić dziurę w oleju”. Przymawia się jęcząc, żąda grożąc, wymaga bez wewnętrznych oporów, ale za to z uporem. Jego hasłem: „śmierć frajerom”. Naciąga i wykorzystuje każdego, kto się da naciągnąć lub wykorzystać.

Także B — ma we krwi zasadę: „Żyję, więc żądam”. Przekonany, że mu się dużo należy, bierze bez skrupułów i jest często rozczarowany, bo spodziewał się więcej. Prosi łatwo i każdego, choć ma pewien wzgląd na to, co „nie wypada”: „Poprosiłbym cię o fiata na niedzielę, ale nie śmiem”.

Oba te typy (A i B) mają skłonność do pomniejszania wartości otrzymywanych dóbr i świadczeń: „Nie potrzebowałem...”, „Sam bym sobie poradził...”, a także do pomniejszania trudu i wyrzeczeń osób dających:

„Wyżywa się...”, „Ma dosyć pieniędzy... (czasu..., energii...)”, „Nie znał ceny tego, co dał...”, „Tak mu wygodnie”.

C — bierze z pewną trudnością, czuje się nieco skrępowany i zobowiązany, jest wdzięczny i zaskoczony ludzką dobrocią: „Już dosyć!”, „Opamiętaj się!”, „I tak za dużo mi dałeś”.

D — gdy musi o coś prosić, gardło mu się ściska, a każdą otrzymaną pomoc, każdy większy prezent przeżywa jak upokorzenie, więc czym prędzej rewanżuje się, by zmasać tę hańbę, zmyć plamę na honorze. Oba te typy (C, D) skłonne są przeceniać wartość otrzymywanych dóbr i świadczeń:

„Inaczej nie dałbym rady...”, „To mnie postawiło na nogi”. „Przywróciło mi ochotę do życia”, a także wyolbrzymiają koszty, trudy i wyrzeczenia ofiarodawcy: „Przecież sam nic nie ma...”, „O sobie nigdy nie myśli...”, „Żyje tylko dla innych”.

Słowem: proszenie i branie przychodzi jednym z łatwością zbyt dużą, a innym sprawia trudność także zbyt dużą.

WIELOŚĆ POBUDEK

Jak różne mogą być pobudki daru, ilustrują choćby wypowiedzi krwiodawców w Wielkiej Brytanii:

„Daję krew, bo wiem, że w ten sposób mogę ocalić czyjeś życie”.

„Jako niewidomy nie mam innych możliwości pomagania ludziom”.

„Dostałem darmo ortopedyczne buty, moja krew to jakby odwdzięczenie się potrzebującym”.

„Bo cieszę się dobrym zdrowiem i miło mi myśleć, że moja krew pomoże komuś wrócić do zdrowia”.

„To jakby podziękowanie Bogu za zdrowie”.

„Dzięki czyjejs krwi przeżyłam poród..., spłacam dług”.

„Jakiś nieznaną osobę w ten sposób ocalił życie mojej żony”.

„Ktoś w mojej rodzinie może będzie kiedyś potrzebował krwi. Chcę wierzyć, że znajdzie się wtedy ktoś, kto ją da”.

„Mam dwoje dzieci i czuję, że jeśli ja albo któreś z nich będzie kiedyś potrzebować czyjejs krwi, będziemy mieli do niej moralne prawo”.

„Mam rzadką grupę krwi. Dużo jeżdżę, często widzę krew na szosie. Pewnego dnia może to być moja krew. Z takimi wesołymi myślami można traktować krwiodawstwo jako inwestycję”.

„Matka była krwiodawcą przez szereg lat, po jej śmierci zdecydowałem się zająć jej miejsce”.

„Syn zginął w wypadku, był krwiodawcą, cieszyłby się, gdyby wiedział, że oddaję swoją krew, dlatego będę to robić poty, póki będę mogła w ten sposób ludziom pomagać”.

„Widziałem wypadek i pomyślałem, że to najlepszy sposób pomocy”.

„Daję z poczucia winy, że tyle w życiu doświadczyłam dobrego, a tak mało dałam”.

„Wywiązuję się z obowiązku w stosunku do społeczeństwa i narodu”.

„Wyszedłem cało z wojny, czułem, że coś się ode mnie należy”.

„Najpierw była ciekawość, później dawałem, bo stwierdzono, że mam rzadką grupę krwi. Miło mi pomyśleć, że ktoś zawdzięcza mi życie”.

„Po obejrzeniu ogłoszenia w telewizji pomyślałem, jak bardzo mogę pomóc pacjentom, i to niewielkim wysiłkiem”.

Autor książki, który zebrał te wypowiedzi¹, podkreśla praktyczną i moralną wyższość krwiodawstwa bezinteresownego nad interesownym: praktyczną, bo płatni krwiodawcy mogą zatajać istotne informacje o sobie, na przykład mogą znaleźć się wśród nich narkomani; moralną, bo jest coś szokującego w traktowaniu krwi jako jeszcze jednego przedmiotu handlu. Dla krwiodawców w brytyjskim systemie służby zdrowia dawanie krwi jest wyrazem, a zarazem pogłębieniem — uczucia przynależności do społeczeństwa, wyraża i pogłębia uczucie solidarności z innymi.

Różnorodność motywów, między którymi mogą zachodzić zbieżności albo zderzenia.

ZBIEŻNOŚCI I ZDERZENIA

Różne racje i motywacje często się uzupełniają. Podziwia się dobre serce M., bo wyszła za fajtlapę, który sam nie potrafi zdecydować, czy włożyć brązowe buty, czy czarne...

¹ R. M. Titmuss *The Gift Relationship*. London 1970.

Może rzeczywiście ma dobre serce, ale poza tym jest despotką, która potrzebuje kogoś, kim może rządzić nawet w dziedzinie garderoby. Zachwycają się koleżeństwem R., który opiekuje się bezradną i ubogą koleżanką z nieślubnym dzieckiem... R. rzeczywiście jest koleżeński, ale czy z takim samym zapałem opiekowałby się nią, gdyby była mniej atrakcyjna? Podwiozłem autostopowicza. Z dobroci? Owszem, żał mi go było — może już długo czekał, a deszcz zaczął padać — ale jechałem sam, nie miałem do kogo gęby otworzyć. T. zapisała mi w testamencie perski dywan: z sympatii?; z wdzięczności za to, że ją kilka razy odwiedziłem?; z wyrachowania — chce, żebym ją wspominał? Pewnie z tych trzech względów razem. Prawie za każdym działaniem kryje się kilka motywów.

Gdy motywy popychają człowieka w jednym kierunku, ich siły sumują się, działanie jest konsekwentne i dynamiczne; kiedy jednak wskazują na różne cele, wtedy zderzają się, a działanie jest chwiejne. Koleżeński urzędnik, znalazłszy się w sytuacji konfliktu ambicji z lojalnością, chciał dać Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek, w rezultacie nakręcił, nałgał, koledze zaszkodził, a sobie nie pomógł.

Bywa i tak, że przez pewien czas motywy są zbieżne, po czym zderzają się. Iks kierował się rzeczywistym pragnieniem dobra społecznego, a jednocześnie — żądzą popularności. Doszło jednak do sytuacji, w której zajęcie stanowiska dla tego dobra naraziłoby go na stratę oklasków, nawet na gwizdy; wybrał oklaski, choć jego kolega, podobnie myślący, wybrał gwizdy.

Tak, wielość, a nawet sprzeczność motywów jest raczej regułą niż wyjątkiem, a tymczasem w naszych sądach etycznych obraz ich nader upraszczamy.

WYROKI POCHOPNE

Z dużą pewnością siebie wypowiadamy sądy o tym, czym ci i owi powodują się w swoim postępowaniu, a są to zwykle tylko domysły oparte na wątych podstawach. I tak mówimy, że ten działa pod wpływem ambicji („karierowicz i tyle”), tamten kieruje się tylko interesem („sprzedaje się”), jeszcze innego nazywamy bezinteresownym romantykiem. Jest to wyrokowanie pochopne, nie uwzględniające złożoności prawie każdej motywacji. Za wygórowaną ambicją może się kryć bowiem kompleks niższości, pamięć przeżytych upokorzeń, pragnienie uradowania matki czy żony, przekonanie: tylko ja mogę zbawić ten kraj; a znów za wielką uczynnością — nerwicowy lęk przed samotnością. Zręczny karierowicz potrafi za pomocą pięknie brzmiących słów zyskać opinię płomiennego idealisty, a prawdziwy idealista, który rzuca na szalę swoje dobre imię, by sprzeciwić się zgubnym według niego żądaniom większości, może narazić się na zarzut karierowiczostwa. Ma się rozumieć, że nader często wykorzystujemy złożoność i trudność odczytania motywacji, by przypisywać osobom nie lubianym i przeciwnikom niskie motywy, a przyjaciółom — wzniosłe.

Przy okazji trzeba rozprawić się z filozofią cynika, który słusznie powiada, iż współdziałanie, pomaganie i dawanie ułatwia zaspokajanie wielu ważnych potrzeb psychicznych (takich, jak potrzeba przynależności, uznania, sympatii, bezpieczeństwa, dobrej samooceny), że wobec tego nawet gdy dajemy, kierujemy się tylko własnym interesem. Zgoda, tylko że czym innym jest potrzeba robienia forsy, a czym innym potrzeba likwidowania cudzych cierpień. Dla moralnej oceny istotne jest nie to, czy w rezultacie osiągnęliśmy własne zadowolenie, ale to, czy kierowaliśmy się myślą o własnej czy cudzej korzyści.

Powstrzymuję się od wyrokowania, ale nie rezygnuję z poznawania sprężyn ludzkich działań...

TEMAT KRĘPUJĄCY

Ci, którzy najpiękniej dają, najuparciej o tym milczą. Chętnie mówią o dawaniu, o swojej hojności osobnicy, którzy robią sobie reklamę, prócz nich — wychowawcy, ale ci, zawodowo pouczając dzieci, nie tylko dzieci, budzą nieufność ekliwiścią, moralizatorstwem lub nawet „budującym” fałszem.

Temat krępujący i dlatego na moje pytania: „Dlaczego tyle dajesz?”, „Co powoduje tobą, że pomagasz?” — słyszałem zakłopotane pomruki lub zaprzeczenie: „Wcale tak dużo nie daję”, „Też pytanie!”, „Nigdy o tym nie

myśle”. „Podobało mi się dać, i basta” — było najpełniejszą z uzyskanych odpowiedzi.

Ta miniankieta nie dała rezultatu, ale też niewiele się po niej spodziewałem. Szczupłe było grono osób, którym mogłem zadać pytanie: „Dlaczego tyle dajesz?” Ponadto — rzadko kiedy ludzie znają rzeczywiste motywy swego postępowania. Nawet gdy starają się najszczerzej o nich mówić, nie można im ufać. Częściej filozofują zgodnie ze swoim postępowaniem, niż postępują zgodnie ze swoją filozofią.

Moja amatorska próba badań nie mogła się powieść, ale od kilkunastu lat psycholodzy prowadzą badania nad motywacją postaw prospołecznych. Skorzystałem z nich¹.



OKOLICZNOŚCI

Ten sam człowiek w różnych sytuacjach...

Zachowujemy się podle albo szlachetnie dlatego, że takie lub owakie okoliczności wyzwalają takie lub owakie dyspozycje naszego charakteru. Nieraz ten sam człowiek w różnych sytuacjach bądź daje i pomaga, bądź grabi i wykorzystuje. Niejeden tak zwany porządny człowiek stałby się oszustem i złodziejem, gdyby nastąpiła się łatwa okazja dużego zysku, gdyby nasunęło mu się usprawiedliwienie i gdyby inni w jego otoczeniu „korzystali”. Z drugiej strony niejeden człowiek o bardzo wątpliwej przyzwoitości stałby się zdumiewająco uczynnym i szczodrym, gdyby był świadkiem tragedii, gdyby obok niego inni wykazywali bezinteresowność. Przypomina mi się człowiek, który samolubny i nieużyty na co dzień, staje na wysokości w sytuacjach wymagających dużego poświęcenia. Czy to tłumaczyć? Pragnieniem zrobienia wrażenia na innych? Być może, ale także tym, że dopiero sprostanie trudnym i ryzykownym zadaniom lub poniesienie dużej ofiary odczuwa jako sposobność do wzmożenia poczucia własnej wartości.

W każdym razie są sytuacje, które pobudzają do pomocy prawie każdego: trudno sobie wyobrazić kogoś, kto znalazłszy w górach turystę ze złamaną nogą nie zawróciłby, aby sprowadzić pomoc; ale nie tak wiele znajdzie się osób, które poświęciłyby urlop na pielęgnowanie zupełnie samotnej dalekiej kuzynki.

Teraz zajmę się cechami sytuacji, które dary i pomoc ułatwiają, i tymi, które je utrudniają.



Niejasność — wahanie. Nie wiem, czy przeraźliwe krzyki u sąsiadów pochodzą z ust żywego człowieka, czy z telewizora lub radia. Nie wiem, czy leżący na ulicy zemdłał, czy upił się. Czy kobieta cucona przez drugą pod moimi drzwiami rzeczywiście zasłała, czy jest złodziejką? Niejasność sytuacji pogłębia obcość otoczenia: na swoim podwórku, w moim mieście, w moim kraju jestem bardziej skory do pomocy niż w obcym. Widzę, że straganiarz próbuje oszukać nieznajomego. W Warszawie interweniowałbym, ale tu, za granicą?

Rozterkę, a więc i ociąganie się z działaniem powoduje zarówno niejasność samej sytuacji, jak też niejasność obowiązujących w niej norm zachowania. Czy przychodząc z wizytą do znajomych w Budapeszcie powinienem im coś przynieść? Nie mam pewności, jak powinienem postąpić także wtedy, gdy znam normy sprzeczne albo gdy zachodzi sprzeczność normy z wzorami lub z odczuciem „tak należy”.

¹ Najwięcej z: D. Bar-Tal *Prosocial Behavior*. Washington 1976; J. R. Maculay, L. Berkowitz (red.) *Altruism*. New York 1970; E. Staub *Positive Social Behavior and Morality*. New York 1979; J. Reykowski *Motywacje, postawy społeczne a osobowość*. Warszawa 1979.

„Spiesz każdemu z pomocą", ale "nie wtrącaj się do cudzych spraw". Na ulicy mężczyzna szarpie się z kobietą, a ja, jak ten faryzeusz z fraszki Norwida, "mimo idę zadumany". Powinienem coś zrobić? Ale co? Mam nadzieję, że jej nie zaczniesz bić. Zaczął. Chyba teraz powinienem coś zrobić, ale czy na pewno?

(W inscenizowanych eksperymentach stwierdzono, że gdy kobieta krzyczy po imieniu na szarpiącego ją albo nawet bijącego mężczyznę, nikt nie staje w jej obronie. Czyżbyśmy sądzili, że „przyjacielowi” wolno bić kobietę?).

A co powinienem zrobić, gdy na klatce schodowej widzę półotwarte drzwi do czyjegoś mieszkania? Dzwonię — głucho. Czy wypada mi wejść i zobaczyć, co się dzieje?

Normę „nie wypada” mam silniej wpojona (i jest ona bardziej konkretna) od nakazu „nieść pomoc każdemu”, w rezultacie jakże często zamiast kryterium etycznego pojawia się inne: „czy tak się robi?”

Do tych wątpliwości dołączyć się może także niepewność reakcji drugiej strony. Czy ta staruszka, która nie może się zdecydować: przechodzić czy jeszcze czekać, nie będzie urażona, gdy wezmę ją pod rękę i przeprowadzę przez jezdnię? Czy ta ledwie znajoma matka dwojga dzieci, z mężem bez pracy, przyjmie ode mnie herbatę i mydło, które sam dostałem? Duma potrzebującego może utrudnić udzielenie mu pomocy. Biednie ubrana dziewczyna z nader sympatycznym uśmiechem ustępuje miejsca starszej kobiecie w tramwaju; chcę jej dać tabliczkę czekolady, akurat wiozę zagraniczną paczkę, ale... krępuję się. Bo ona się spieszy albo pomyśli... albo inni pomyślą... Kiedy indziej powstrzymuje mnie myśl, że otrzymujący poczuje się zobowiązany, będzie uważać za konieczne odwzajemnić się; zaproponowałbym znajomej, że odwiozę ją na lotnisko, ale jeśli to zrobię, to ani chybi po jej powrocie dostanę jakiś prezencik; nie chcę. Jeszcze gorzej, gdy otrzymujący może pomyśleć, że daję z wyrachowania, że próbuje... łapówki. Sympatyczna jest ta nauczycielka syna moich przyjaciół, mówiła, że źle mu idzie...; Czy mogę dać jej słownik, którego potrzebuje? Mam dwa egzemplarze — ale a nuż pomyśli...

Innego rodzaju rozterka może działać paraliżująco w sytuacjach dużo poważniejszych.



W tłumie i wobec tłumu. W styczniu 1982 roku na jeziorze w Gnieźnie załamał się łód pod młodym człowiekiem. Był on sportowcem, utrzymał się na powierzchni prawie pół godziny. Ale dźwignąć się na łód nie zdołał. Na brzegu zebrał się tłum. Tłum gapiów. Człowiek utonął.

Podobny przypadek: mieszkańcy bloku patrzyli przez okna na bitego przez chuliganów człowieka i nikt nie pospieszył na ratunek. Nikt nawet nie zatelefonował po milicję.

W wielkim mieście bierność świadków tragedii jest niemal regułą, stąd poczucie wyobcowania w betonowej społeczności.

Zdawać by się mogło, że obecność wielu świadków powinna pobudzać do udzielenia pomocy, a tymczasem jest odwrotnie: im więcej osób, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo pomocy. Dlaczego?

Psycholodzy tłumaczą to rozproszeniem odpowiedzialności. Żadna norma nie określa, kto powinien zrobić pierwszy krok. Każdy z obecnych myśli: „Nie ja jeden jestem odpowiedzialny”, „Jeśli inni nic nie robią, to dlaczego ja?”, „Zachowuję się jak inni, nie mam się czego wstydzić”, „Wśród tylu obecnych na pewno jest ktoś bardziej kompetentny”, „Nie chcę się wygłupić, jeszcze poczekam”. Dżgnięcie niepokoju: „Coś należałoby zrobić” uśmierza refleksja: „Pewnie jestem przesadnie wrażliwy, tyle osób widzi to samo co ja i nikt się nie kwapi”. Więc i ja się nie kwapię. Ci inni spoglądają na mnie... Im dłużej stoimy, tym głębiej wrastamy w bierność.

Podobnie jak indywidualną inicjatywę tłumi znalezienie się w biernym tłumie, tak i zniechęca do altruistycznych aktów znalezienie się wobec tłumu. Jest dość prawdopodobne, że podróżny da jałmużnę wtedy, gdy go zaczepli

jeden nędzarz, ale jeśli go obiegnie (jak w Indiach) pięćdziesięciu żebraków, będzie się tylko od nich opędać. Nie dziwny się — czy można dawać tłumowi? Wobec masy potrzebujących stajemy bezradni. Skoro nie możemy dać, pomóc wszystkim, nie dajemy, nie pomagamy nikomu. Tak samo skoro nie możemy zaspokoić dużej części potrzeb jednego człowieka — pomóc generalnie — nie zaspokajamy żadnej, nie robimy niczego. Tłumaczenie mamy gotowe: dar drogo by nas kosztował, a byłby kroplą w morzu.

Inaczej jednak przedstawia się sytuacja biednego wśród biednych.



Wspólnota biedy. A. Potocka-Hoser¹ stwierdziła, iż postawy altruistyczne występują częściej u dzieci, których potrzeby są lepiej zaspokajane. Poza tym istotnie, żeby dać, trzeba mieć. Nie znaczy to jednak, że najchętniej i najhojniej dają ci najbardziej zaspokojeni i najwięcej posiadający. Mówi się nawet, że „kto mało ma, ten dużo daje”, a „z przybytkiem rośnie zachłanność i skąpstwo”. To nieprawda, lecz prawdą jest, że zamożność oddala od potrzebujących. Fizycznie i psychicznie. Właściciel luksusowej willi nie ma znajomych w baraku, nie wie, co to brak, natomiast biedak ociera się o drugiego biedaka, jest mu bliski, rozumie go. Pamiętamy z Placówki B. Prusa, jak to właśnie najbiedniejszy w okolicy Jojna Niedoperz pomagał się podźwignąć Ślimakowi, którego wieś odrzuciła. „Współczucie nędzarza dla cudzej nędzy było tak wielkie, że w tej chwili zapomniał o swoich kłopotach, a myślał o ratowaniu Ślimaka. Właściwie nawet nie myślał o Ślimaku, tylko wprost nie umiał go odróżnić od siebie. Zdawało mu się, że to on sam, Jojna, leży w stajni obok umarłej żony i że za wszelką cenę musi wydobyć siebie z nieszczęścia”.

Podobny motyw zabrzmiał w opowiadaniu Marii Dąbrowskiej *Triumf Dionizego*. Tylko Dionizy „ostatni we wsi” uzalił się nad odrzuconym przez całą wieś Michalszczakiem i „brał go sobie, jak Bóg przykazał, człowieka grzesznego za brata”.

Ciekawe, że tak Jojna z opowiadania Prusa, jak i Michalszczak z opowiadania Dąbrowskiej przeżywają uczucie jedności z potrzebującym, uczucie tak wysoko cenione w mistycznej tradycji hinduskiej.



Gdy najciężej... Ludzie, którzy przeszli przez klęski, lepiej wiedzą, co znaczy i ile znaczy przyjacielska pomoc i poświęcenie, lepiej wiedzą, do czego sami są zdolni i do czego inni są zdolni, kim są ich przyjaciele i znajomi. Jakże często w ciężkich chwilach z największą pomocą spieszy nam ktoś, kogo nie uważaliśmy za najbliższego. Koleżanka z biura albo przypadkowy znajomy z klubu wspiera nas w chorobie, zajmuje się naszym dzieckiem; ratuje nas z finansowej katastrofy, pomaga w opiekowaniu się niedołączonym ojcem, a rodzina... telefonuje. Stąd każdy, kto przeszedł tragedię, a zawiera bliższą znajomość, mimo woli stara się odgadnąć, jak ten nowo poznany zachowałby się w podobnej sytuacji. Czy jak A. zniknąłby z horyzontu? Czy jak B. rzucałby ochłapki litości tłumacząc się, jak bardzo jest zajęty? Czy jak C. solidnie by pomógł, ale tylko na wezwanie, dając poznać po sobie, że to, co robi, robi z najwyższą niechęcią i tylko z poczucia obowiązku?

¹ A. Potocka-Hoser *Wyznaczniki postawy altruistycznej*. Warszawa 1971.

Czy wreszcie jak D. służyłby chętną, sprawną i długotrwałą pomocą, odgadując, co potrzeba, i dając nieskończenie wiele po prostu z serca?

Spotkałem się nawet z paradoksalnym twierdzeniem, że obniżenie materialnego standardu życia, nawet wojna, nawet terror, podwyższają jakość życia. Co to znaczy? Chyba to, że kiedy jest najciężej, ludzie więcej wzajemnie sobie świadczą, że w najgorszych czasach najsilniejsze bywają międzyludzkie powiązania, najdobitniej przejawia się lojalność, gotowość niesienia pomocy i bohaterstwo. Ma się rozumieć, że jak prawie każdy paradoks, tak i ten zwraca uwagę tylko na jedną stronę rzeczywistości. Przecież w warunkach terroru „(takich np., jakie mieliśmy okazję przeżywać w okresie okupacji hitlerowskiej) następuje polaryzacja w zakresie moralności. U jednego krańca szantażyści, którzy wydawali Żydów w ręce Niemców, a u drugiego bohaterzy, którzy przeprowadzali zamach na Kutcherę¹. Inaczej mówiąc, czasy najcięższe, czasy tragedii i klęsk ujawniają to, co w ludziach najpodlejsze, i to, co najszlachetniejsze; na przykład bezwzględność i brutalność, lojalność i ofiarność.

Druga strona medalu ma oblicze cesarza.

Cesarz dziękuje bogom. Marek Aureliusz (121—180) dziękował bogom za to, że „(...) ilekroć chciałem dopomóc komuś w biedzie lub potrzebującemu jakiejś innej pomocy, nigdy nie słyszałem, że nie mam środków”. Szczęśliwa sytuacja człowieka, który, kiedy tego chce, zawsze ma z czego dać!

Czasownik „mieć” odnosi się tu nie tylko do środków materialnych, ale także do szeregu cech osobowych. Ciężko chora narzekala, że osoba, dla której rzeczywiście dużo zrobiła, teraz jej wcale nie pomaga: „Przychodzi, drepce, drepce, w kółko się kręci, ale nic nie załatwi, nic sensownego nie zrobi. Bardzo się na niej zawiodłam”. Stała się w obronie oskarżonej: „Ona nie jest zła, tylko niezaradna”.

Efektywna pomoc, zwłaszcza w złożonych i niecodziennych sytuacjach, do których nie jest się przygotowanym, wymaga nie tylko dobrej woli, ale także spostrzegawczości, inicjatywy, zaradności. Nie potępiamy psa za to, że nie daje mleka, ani krowy za to, że nie staje w naszej obronie, więc i nie potępiamy... „cielaka” — on naprawdę nie widzi, że jest coś do zrobienia, że mógłby coś dać, nie przychodzi mu do głowy, że ma okazję przysłużyć się.

W sądach o ludziach powinniśmy pamiętać i o tym, że łatwiej jest dawać z wezbranej żywotności niż w stanie fizycznego i psychicznego bezwładu, łatwiej zdrowemu niż obolałemu (charakterystyczne, że wśród osób społecznie zaangażowanych mniej jest takich, które szukają pomocy psychologów i psychiatrów). Oprócz „chcieć i mieć siły” trzeba jeszcze umieć. Na to „umieć” składa się, gdy mowa o dawaniu, wyobraźnia, intuicja czy inteligencja, sprawność, doświadczenie albo i kwalifikacje fachowe. Wszystkie te cechy? Nie, zależy od sytuacji. Spostrzegawczy i bystry szybciej i celniej zauważy, czym może uradować. Wyobraźnia może się przydać choćby po to, by odczuć, jak kolega czuje się po rozmowie z szefem, a intuicja lub inteligencja podsunie właściwe słowa. Sprawność przyda się, gdy staramy się pomóc komuś w jego fizycznej pracy. Zaradność i doświadczenie — kiedy chcemy wydobyć kogoś z opałów. Kwalifikacje fachowe — choćby mechaniczne — gdy bezradny kierowca stoi w polu przy unieruchomionym samochodzie. Marek Aureliusz miał za co dziękować bogom, podobnie ma za co dziękować im (i sobie) karateka, gdy widzi, że chuligani napadli na samotną kobietę.

Skoro wspomniano o koniecznych do pomocy środkach, przypomnijmy o kosztach.

¹ M. Ossowska *Socjologia moralności*. Warszawa 1969, s. 83—4.



Waż w kieszeni i w zegarku. Okolicznością, która chyba najczęściej nie dopuszcza do aktu ofiarowania pomocy lub daru, jest jego koszt: przez koszt rozumiem nie tylko wydatek materialny, lecz także wydatek czasu i energii (wysiłek) oraz możliwe negatywne następstwa dla ofiarodawcy (ryzyko). Jeśli zadeklaruję współpracę w akcji charytatywnej, będę musiał zrezygnować co najmniej z poobiedniej drzemki; jeśli nieprzytomną i pokrwawioną nakryję moim płaszczem, pobrudzę go, jeśli pobiegnę w kierunku, skąd dochodzi wołanie o pomoc, sam mogę oberwać...

Jadowitego węża ma w kieszeni, dlatego niechętnie do niej sięga, każdy skąpiec. Jest to często człowiek przestraszony. Boi się przyszłości. Chce się zabezpieczyć. Maksymalnie. I wierzy w zabezpieczającą moc pieniądza. Toteż „zdaje się, że pod wpływem starości, jak wszelkiej słabości, ludzie stają się chciwi”¹.

Skąpcem jest też osobnik, który, chcąc wyrosnąć ponad innych we własnych i cudzych oczach, sądzi, że najlepszą do tego drogą jest gromadzenie dóbr materialnych. Najnędniejsza to postać ambicji. I w znaczeniu przenośnym — najtańsza.

Zdarza się także, wcale nierzadko, że środek staje się celem, pieniądz — środek zaspokojenia wielu potrzeb — przeradza się w cel samoistny. Człowiek staje się niewolnikiem środka, to jest narzędzia (jest niewolnikiem wszystkiego, z czym nie potrafi się rozstać).

Dodatkowo atrakcyjność gromadzenia pieniędzy pochodzi z ich policzalności. To, co wymierne, wydaje się bardziej konkretne od niewymierne. Wiele błędów jednostek i organizacji ma swe źródło w niedocenianiu wartości tego, co niewymierne, a w przecenianiu tego, co policzalne.

Poza skąpstwem środków, skąpstwo czasu — waż w zegarku. Bo czas daje się przerabiać nie tylko na pieniądze: stanowi wartość dla hulaki i artysty, dla nicponia i hobbysty, dla karierowicza i dla uczonego, dla żarliwego społecznika i dla płomiennego kochanka, dla mistyka i dla... lenia.

Względność czasu — subiektywizm odczuć. Temu, kto naszego czasu potrzebuje, godzina wydaje się kwadransem, a temu, kto wysłuchuje próśb lub czas swój ofiarowuje, kwadrans wydaje się godziną.

Skąpstwo czasu — pośpiech. Siedzący obok pasażer pojękuje. Nie pytamy, co mu jest, nie zastanawiamy się, jak mu pomóc, bo na następnym przystanku wysiadamy. Jesteśmy umówieni, a szcycimy się punktualnością...

Brakiem czasu tłumaczy się nieraz pospolity leń. Odwracamy się od niego z obrzydzeniem, które jednak nie zawsze jest usprawiedliwione. Co innego lenistwo totalne, ociężałość i apatia, pochodzące z wad organicznych (na przykład ze złego funkcjonowania tarczycy) albo z przemęczenia, z przebytych chorób lub tragedii, a co innego lenistwo przejawiające się tylko wtedy, gdy zachodzi potrzeba trudzenia się dla kogoś.

Niesmak budzi także ten, kto nie pomógł przez tchórzostwo, lecz i tu trzeba wprowadzić pewne rozróżnienie. Gdy ryzyko jest duże, podziwiamy tego, kto się na nie waży, gdy zaś ryzyko jest niewielkie, potępiamy tchórze, który go nie podjął. Co innego wahanie się przed wskoczeniem w płomień dla ratowania dziecka, a co innego wygodne przemilczanie prawdy, której wyjawienie pomogłoby niesłusznie oskarżonemu.

Ma się rozumieć, że ten, kto nie dał czy nie pomógł, ma zawsze coś na swoje wytłumaczenie.

¹ Arystoteles *Etyka Nikomachejska*. Warszawa 1956, s. 126.



Nie muszę, bo... Kiedy niechęć do poniesienia wydatku czy podjęcia trudu przeważa nad poczuciem obowiązku czy moralnej powinności, w sukurs przychodzi zdolność do samousprawiedliwiania się. Najprostszym zabiegiem jest odrzucenie wiadomości, której przyjęcie zobowiązywałoby (profesor Sonnenbruch w sztuce L. Kruczkowskiego *Niemcy* nie wierzy w tortury i głodzenie na śmierć w obozach. Wygodniej mu tak). Dostyc podobnym zabiegiem jest uznanie takiej informacji za przesadzoną: „Cierpienie jego nie jest aż tak wielkie”, „Dużo w tym hysterii”, „Do swoich niewygód i samotności już się przyzwyczaiła”, „Woli cierpieć i być głośnym niż nic nie znaczyć”.

Gdy informacja, która zobowiązuje do udzielenia pomocy, przebij się przez te pierwsze linie obrony, sięgamy po inne tłumaczenia. Przede wszystkim mówimy sobie i nie sobie: „Nie możemy nic zrobić, brak nam sił i środków”, „Choćbyśmy starali się, nic nie wskóramy”. Tłumacząc się nawet przed samym sobą pomniejszamy swoje możliwości, a wyolbrzymiamy trudności ewentualnej pomocy; ponadto powiększamy wagę naszych innych zadań: nie możemy się rozpraszać, marnować czasu...

Dalszy wygodny zabieg polega na zaprzeczaniu odpowiedzialności: „Od tego są inni”. Najpopularniejszą formułą zaprzeczenia odpowiedzialności, a zarazem zawężenia interpretacji własnego obowiązku jest: „Nie do mnie należy”.

„Nie do mnie należy” bywa uzasadniane zdaniem: „Bo to nie moja wina”. Ktoś inny zawinił albo są inni współwinni, więc dlaczego my mamy dźwigać ten ciężar? Ten sposób usprawiedliwiania się zakłada, że powinniśmy coś zrobić tylko wtedy, gdy sami ponosimy całkowitą odpowiedzialność za czyjś los lub czyjeś samopoczucie. „Nie ja wymyśliłem tę wyprawę, która skończyła się katastrofą, przeciwnie, ostrzegałem przed głupim ryzykiem, dlaczego więc miałbym teraz marnować czas i siły na ratowanie ofiar?” Bardzo wygodnie jest móc powiedzieć w takiej sytuacji: „Sam sobie jest winien”, „Sam sobie uszył te buty, niech sam w nich chodzi”, „Będzie to dla niego nauczka”, „Wyjdzie mu na dobre”.

Przekonywające dla tego, kto chce być przekonany, są jeszcze tłumaczenia typu:

„Mnie nikt nie dawał (pomagał), dlaczego ja miałbym dawać (pomagać)”, „Ludzie są egoistami, nie zasługują...”. I argumenty pseudoreligijne i pseudofilozoficzne: „Za swoje cierpienia wszystkie żyjące istoty będą hojnie wynagradzane po śmierci, więc dlaczego mielibyśmy je zmniejszać?”, „Takie jest prawo natury. Słabsi muszą ginąć. To leży w interesie gatunku. Nawet ludzkiego”.

Prawda, że w tym arsenale usprawiedliwień każdy coś znajdzie dla siebie? „Kto nie chce dać, wnet znajdzie wymówkę” (przysłowie).

Okoliczności sprzyjają dawaniu lub je utrudniają, ale decyduje wola dania. Co się za nią kryje?

INTERESOWNOŚĆ

Co ja z tego będę miał? Człowiek o nastawieniu wyłącznie komercyjnym daje tylko z wyrachowania, w oczekiwaniu wzajemnego świadczenia. Nazywam to nastawienie komercyjnym, bo kiedy dawca liczy na odpłatność, jego postępowanie jest tylko inicjowaniem transakcji wymiennej. Niewykluczone, że przewiduje, iż wartość, której się pozbawił, zwróci mu się z procentem, a w swej kalkulacji uwzględni nawet ryzyko, jako że każda spekulacja, a więc i spekulacja na wdzięczność, uwzględnia prawdopodobieństwo straty.

Spodziewany zysk nie musi być przeliczalny na walutę wkładu. Wkład może być materialny, a zysk niematerialny: Iks wydaje wspaniałe przyjęcie może po to, by mówiono: „Ten ma gest”. Albo przeciwnie, wkład może być niematerialny, a zysk materialny: Igrek dba o brata swego dziadka, bo liczy, że ten zapisze mu w spadku mieszkanie. Jeszcze w innej sytuacji niematerialny jest zarówno wkład, jak i zysk: mocny matematyk, ale słaby atleta podaje ściągę atletcie, licząc na to, że w razie czego ten go obroni — obie strony zabezpieczają się...

W sposób najbardziej oczywisty kalkulacja występuje we wszelkich formach przekupstwa.



... **których łatwo wciągnąć w brud.** Korzystnie jest mieć przyjaciół: sympatia otoczenia zaspokaja wiele potrzeb, toteż ludzie zabiegają o nią wszelkimi sposobami: stroją się w fałszywe piórka, kłamią, schlebiają, wdzięczą się, mówią „tak”, choć myślą „nie”, ale także, by się podobać, są serdeczni i szczerzy, prawi i lojalni, uczynni i pomocni. „Drobne upominki podtrzymują przyjaźń” — mówią Niemcy. Czy słusznie? Mam długoletnich przyjaciół, choć drobnymi upominkami nie szafuję. A czy rzeczywiście „sobek przyjaźni nie nabędzie”? (porzekadło). Nabędzie, ale nie utrzyma.

A co powiedzieć o posługiwaniu się darami dla wkupienia się w przyjaźń?

Choć wyrażenie „wkupywać się” ma sens ujemny, to jednak nie sędzę, by pozyskiwanie i wzmacnianie przyjaźni darami zasługiwało na gromy, chyba że zabiegający o przyjaźń kieruje się nie sercem, ale nosem — węższy interes.

Dawanie z wyrachowania jest dość powszechne. Ostatecznie prawie każdy potrafi dostrzec perspektywę interesu, a nie każdy gotów jest do ponoszenia bezinteresownych ofiar. Zresztą nawet człowiek rzeczywiście szczodry kalkuluje w niektórych sytuacjach. To go nie kompromituje, lecz pamiętajmy, że cnota licząca na nagrodę nie jest cnotą.

Dawanie z wyrachowania nie hańbi, lecz szkodzi międzyludzkim stosunkom. To przykre, gdy otrzymując cokolwiek, zadaję sobie pytanie: czy dawca nie jest interesowny, czy prezent nie jest łapówką? Przykre — że sam dając lękam się, czy nie będę podejrzany o interesowność. Przykre, bo brak gotowości do dawania bez myśli o ewentualnej korzyści świadczy o braku ludzkiej solidarności i dobroci.

W dodatku niemożliwa do oznaczenia jest granica między darem przyjacielskim a takim, którego celem jest zapewnienie sobie poparcia w przyszłości, przychylnie usposobienie obdarowanego do mającej nastąpić prośby; nie ma nawet wyraźnej granicy między prezentem a łapówką. Gdy poza uzgodnioną zapłatą wręczam hydraulikowi paczkę papierosów, to może tylko chcę sobie zapewnić szybką usługę następnym razem. Niemniej jest to dar, choć interesowny. Na pewno darem jest koniak, który wręczam chirurgowi opuszczając szpital, ale hm, jeśli mu go przyniosę, gdy staram się o przyjęcie do szpitala...? Albo żona radzi mężowi: „Daj mu, te płyty, które przywiozłeś, słyszałam, że został dyrektorem”...

Margines łapówkarstwa zawsze istniał. Cesarze rzymscy wielokrotnie występowali przeciw prezentom dawanym urzędnikom z okazji Nowego Roku. Prawie dwa tysiące lat temu Owidiusz (43 p.n.e.—18 n.e.) pisał:

*Podarunki robią cuda,
Zbędne są inne wskazówki.
Dar nęci ludzi i bogów,
Sam Jowisz bierze łapówki.*

Może mówiąc o Jowiszu rzymski poeta miał na myśli na przykład składane w modlitwach przyrzeczenia typu: „Jeżeli zdam egzamin, to będę wiernie składać ci hołd i ofiary”.

Łapówka to naga postać wyrachowania w darowaniu. Jej założeniem — przekonanie, że życzliwość i sprawiedliwość są do kupienia. Bywa jeszcze gorzej, gdy wynika z przekonania, że „Kto nie ma co dać, musi u drzwi stać”, że niczego nie da się załatwić bez łapówki, że więc obowiązkowość niczym nie podparta nie funkcjonuje (w szpitalu na Bielanach ojciec nie zostawił syna na operację, bo chirurg nie chciał przyjąć od niego pieniędzy). Rozpowszechnienie się łapówkarstwa kompromituje, świadczy o moralnym rozkładzie społeczeństwa, o pogłębiającej się komercjalizacji międzyludzkich stosunków. „Łapówka jest karykaturą daru i na tym polega jej zło” (K. Wyka).

Wspominając łatwą przekupność Niemców w czasie okupacji K. Wyka pisał: „Rozmiarów tej gangreny nie przeczuwał zresztą nikt w Polsce i rychło, gdyśmy ją rozpoznali, ustalił się wobec okupanta ten znamieny stosunek psychologiczny tłumionej pogardy, jaką zawsze żywimy wobec ludzi, których łatwo wciągnąć w brud, choć zasadniczo winni mu być niedostępni”.



...by cała okolica dowiedziała się. Znamy takich, „(...) którym własny ozór nadaje pracy i zasługi pozór” (H. Zbierzchowski). Rozповідаją o sobie, jacy to oni są, choć nie są, ile to z siebie dają, choć nie dają. Stroją się w piękne, choć fałszywe piórka. Cóż, trzeba im to przyznać, swoimi łgarstwami oddają hołd nocie.

Obok nich — ci, którzy rzeczywiście coś niecoś z siebie dają, ale tylko wtedy, gdy mogą liczyć na... sroki. Jakie sroki?! Te z M. Konopnickiej: „(...) by cała okolica dowiedziała się od sroki, jaki to Półpanek miłosierny i wspaniałomyślny”. Szczodroblawi dla ostentacji dają tym gorliwej i tym hojniej, im więcej osób dowie się o ich gorliwości i hojności; dają, by zwrócić na siebie uwagę, a nawet by wzbudzić podziw.

Liczą na sroki, a są jak kura, która zniósłszy jedno jajo zawiadamia o tym stu sąsiadów.

Jeśli przypadkiem trafią na muzułmański sąd ostateczny, to grożą im męki piekielne przygotowane dla tych, którzy „(...) ofiarowują dobra swoje tylko na pokaz...”¹ Koran, z którego wziąłem to zdanie, jest surowy, wołę chińskie przysłowie:

„Kto czyni zło i lęka się, iż to się wyda, ma jeszcze w swoim występku ziarenko dobroci, a kto czyni dobro i stara się, by o tym wiedziano, ten ma jeszcze korzeń zła w swojej dobroci”. Podobnie i św. Ambroży z Mediolanu (339—397):

„Godzi się więc spełniać uczynki miłosierne lub pościć w skrytości, tak aby widziano, że jedynie od Boga swego spodziewasz się nagrody, a nie także od ludzi. Kto bowiem od ludzi jej oczekuje, ma swoją zapłatę, kto zaś od Boga, ma życie wieczne (...)”²

Najpiękniej daje ten, czyja „lewa ręka nie wie, co daje prawa”, a przy tym tak hojnie, jakby cały świat miał się o tym dowiedzieć; ale słyszy się zdanie, że gdyby nie próżność, gdyby nie pragnienie aprobaty i wyrobienia sobie „dobrego imienia”, ludzie niewiele składaliby ofiar na rzecz innych. Istotnie, w wyniku przemyślnie zaaranżowanych eksperymentów psychologzy stwierdzili, że gdy dar ma być anonimowy, mało jest chętnych ofiarodawców. To stwierdzenie przygnębia zarówno ze względów moralnych, jak i praktycznych. Aspektu moralnego nie potrzebuję objaśniać, praktyczny jest mniej oczywisty, więc wyjaśniam:

Po pierwsze, dawanie inspirowane interesownością, choćby nią było tylko pragnienie aprobaty i budzenia podziwu, ma tę wadę, że gdy nie może liczyć na rozgłos — zanika. Po drugie, dochodzi do skutku raczej w sytuacjach spektakularnych (czeka — aż człowiek wpadnie do rzeki) niż w dużo częstszych — codziennych. Po trzecie, ta inspiracja może w ogóle nie pobudzić do zapobiegania nieszczęściu, gdyż ten, kto zapobiegł, nie zbierze honorów. (Paradoks: podziwiamy tego, czyje złe prognozy sprawdziły się, ale przechodzimy obojętnie wobec zasług tego, którego przewidywania zapobiegły złu).

Bywa jednak, że sława goni i dogania tego, kto przed nią ucieka, i wtedy:

„Największa przyjemność, jaką znam: gdy dobry uczynek spełniony po cichu przypadkiem staje się głośny” (Ch. Lamb).

Jak dbałość o dobrą opinię jest szlachetniejszym rodzajem interesowności niż zabieganie o zysk materialny, tak dbałość o zadowolenie z siebie jest szlachetniejszą motywacją niż troska o opinię.

¹Koran, rozdz. 4, 42.

²Św. Ambroży z Mediolanu *Obowiązki duchownych*. Warszawa 1967, s. 113.



Niepospolity. Kto gardzi chamstwem i kręctwem, interesownością i skąpstwem, kto nie chce mieć w sobie nic grubiańskiego i pospolitego, ten pragnie widzieć siebie prawym i delikatnym, uczynnym i hojnym.

Posmaczek samozadowolenia — jestem lepszy od innych — nagradza też wiele aktów hojności. Przekonanie: daję więcej, niż biorę, jest napompowane dumą, ale jest to duma wartościowa. Rezonuje w niej stare *noblesse oblige* (szlachectwo zobowiązuje). Koncepcja siebie jako człowieka dążącego do niepospolitości drogą bezinteresownych świadczeń jest rzadka i trudna, więc już tym samym godna szacunku. I niezawodna. Człowiek, który konsekwentnie nią idzie, nie jest pospolity. Wie, że odważni częściej niż tchórzliwi cierpią i giną, a mimo to jest odważny. Wie, że będąc sprawiedliwym, nie będzie popularnym, a mimo to stara się być sprawiedliwym. Wie, że sprzeciwiając się rozhuśtanym emocjom, bezrozumnym nienawiściom i uwielbieniom będzie poczytywany za asekuranta, człowieka bez pasji, niepewnego, a mimo to stara się uczciwie przedstawiać ludzi i sprawy. Wie, że hojność zubaża, a mimo to jest hojny. Wie, że uczciwość wobec przeciwników zmniejsza szansę wygranej, a mimo to jest uczciwy. Wie, że ściskanie się z szubrawcami, wyrażanie szacunku dla ludzi, którzy na szacunek nie zasługują, nieraz ułatwia drogę do forsy i kariery, a mimo to wystrzega się takich przymilności. Gdyby postępował inaczej, gardziłby sobą, skałaby swój własny obraz.

Być ponad tym, co pospolite, to dążenie arystokratycznego ducha. Pogarda wynosi go ponad wulgarność kalkulacji, ponad trywialność rynku. Wie, a mimo to...

O zadowolenie z siebie zabiega przede wszystkim perfekcjonista. Powiadają żartem, iż jest on człowiekiem, który sobie zadaje wiele trudu, a innym wiele cierpień. Mimo to szanują go. Jeśli jego ideałem jest hojność i gotowość niesienia pomocy, to, by się upodobnić do tego ideału, potrafi dawać trwałej i ofiarnej, niż gdyby powodował się wyrachowaniem, pragnieniem efektu, a może nawet współczuciem. Nie zachwieją nim myśli w rodzaju: „Ludzie nie zasługują...”. Odpowie: „To, co robię, robię dla siebie”. W dodatku perfekcjonistyczny egocentryzm wcale nie wyklucza szlachetniejszych pobudek; przeciwnie, może wydawać piękne owoce sprzęgając się z etycznym kryterium wartości: jestem tyle wart dla siebie, ile jestem wart dla innych...

...a także tyle, ile przejawiam mocy.



Przejaw mocy. Akty dawania rzeczy i pomocy bywają — w najszerszym tego słowa znaczeniu — interesowne także wtedy, gdy stanowią radosny przejaw mocy, źródło poczucia własnych możliwości, sprawności i sił. Z dużą przyjemnością wspominam, jak kiedyś pomogłem pewnemu gospodarzowi ustawić i nakryć stóg siana przed burzą — chyba zasłużyłem na pochwały, które usłyszałem, gdy zdążyliśmy przed ulewą. Gospodyni mówiła, że jestem dobry, ale ja przeżywałem satysfakcję przede wszystkim z tego, że się sprawdziłem w nowy dla mnie sposób.

Wyzwalanie sił fizycznych i umysłowych w wysoce sensownej działalności — a taką jest działalność niosąca komuś ulgę lub przyczyniająca radości — potęguje intensywność życia, utwierdza człowieka w poczuciu własnej wartości: jestem, bo działam, bo osiągam, bo dzięki mnie komuś jest lepiej. Sprawiedliwą nagrodą dla takiego dawcy jest zadowolenie płynące z myśli: „Stać mnie na to”, „Nie ma dla mnie nic trudnego”, „Jestem potrzebny”.

Z tych względów wiele osób sądzi, że dawanie jest bardziej radosne niż otrzymywanie; dający przejawia większą aktywność niż biorący, a radości aktywne są silniejsze od pasywnych. Dając, a nie biorąc, przejawiamy swoją osobowość, rozszerzamy się, spełniamy — to radość! Dając wzmacniamy swoje poczucie bliskości z innymi; to też radość.

Najbardziej elementarnym przejawem radości dawania jest stosunek płciowy. W jego punkcie kulminacyjnym mężczyzna daje swoje nasienie. Co więcej, jego rozkosz jest odpowiednio większa, gdy dał pełnię rozkoszy swojej partnerce. Także kobieta „(...) daje siebie, otwiera wrota do centrum swojej kobiecości — otrzymując — sama daje. Jeżeli nie jest zdolna do tego, by dawać, jeżeli potrafi jedynie brać, jest kobietą zimną. U kobiety akt dawania pojawia się po raz wtóry, kiedy występuje już nie w roli kochanki, ale jako matka. Bez reszty oddaje się rozwijającemu się w niej dziecku, daje niemowlęciu swe mleko, ogrzewa je ciałem swojego ciała. Gdyby tego nie robiła, odczuwałaby ból”¹.

¹ E. Fromm *O sztuce miłości*. Warszawa 1973, s. 37.

Gdyby w stosunku do dziecka nie była bezgranicznie ofiarna, wywołałaby nasze zdziwienie, mówilibyśmy „nienaturalna”.

Istnieje cała szkoła moralistów, których nazwałbym moralistami interesu; budują oni gmach etyki przede wszystkim wskazując na to, że etyczne postępowanie leży w interesie jednostki. Jest to fundament niewystarczający, a jest on już zupełnie kruchy, łatwy nawet do logicznego zakwestionowania, gdy przez interes rozumie się tylko zysk materialny. Moralistom tego typu proponuję, aby przynajmniej rozszerzali pojęcie interesu, by obejmowali nim to, co nazwałem tu interesem szlachetnym.

NORMY

Gdybym całe życie spędził wśród ludożerców. Filozof argumentuje, duchowny nawołuje, ale norma obyczajowa decyduje. Jakże często dajemy tylko dlatego, że „tak się robi”, albo nie dajemy, bo „tak się nie robi”!

Wiele osób źle by się czuło, gdyby przyszło do solenizanta bez czegoś-tam w garści; są jeszcze środowiska, w których rodzice źle by się czuli, gdyby nie dali wiana (posagu) swej córce (choć czy nie jest bardziej logiczna afrykańska norma płacenia rodzicom za córkę?); na wsi pomoc sąsiedzka w życiowych katastrofach była dawniej czymś normalnym, dziś — różnie bywa, a w mieście...! W wielu szczepach nomadów zostawiano starców na samotne dogorywanie, w krajach anglosaskich dbanie o starszych rodziców nie jest normą, u nas... trudno powiedzieć, a w Japonii ofiarne pomaganie rodzicom jest normą bezwzględnie przestrzeganą. Tak samo norma pomagania bezbronnym, słabym, dzieciom i kobietom obowiązuje i ma silne oparcie emocjonalne w jednych krajach (albo środowiskach), a w innych jest bardzo elastyczna.

Porzucanie rodziców w niektórych plemionach było następstwem ich koczowniczego życia, ale bynajmniej nie wszystkie normy dają się wytłumaczyć warunkami bytowania. Indianie Siriano we wschodniej Boliwii żyją w nędzy, często przymierają głodem — więc nie dzielą się swoją żywnością; gdy mają jej zapasik, skrzętnie go ukrywają, często posilają się w nocy, by nikt nie widział, nie pomagają sobie nawzajem, ale Buszmeni na pustyni Kalahari także cierpią nędzę i głód, a mimo to dzielenie się posiadanymi dobrami i wzajemna pomoc jest u nich regułą¹.

Natomiast z całą pewnością siła oddziaływania normy zależy od jej długotrwałej jednorodności, to znaczy pielęgnowania i przekazywania tej samej normy (tego samego nakazu i wzoru postępowania) z pokolenia na pokolenie przez wszystkie instytucje i autorytety. Normy sprzeczne wzajemnie się osłabiają. Gdybym całe życie spędził wśród ludożerców, gdybym nigdy nie zetknął się z potępiającą ich opinią, to bez skrupułów pożerałbym nerki, wątróbki, ozorki i mózdzki nieznajomych młodzieńców; gdybym wyrósł w środowisku samych jaroszów — byłbym jednym z nich. Ponieważ jednak zetknąłem się zarówno z jaroszami, jak i z mięsożercami, ponieważ znam normy i argumenty jednych i drugich, dalej jadam nerki, wątróbki, ozorki i mózdzki może nawet cielaczków, które głaskałem na łące, ale czynię to niechętnie i jak najrzadziej. Norma, która ukształtowała moje zachowanie w tym względzie, nie była dostatecznie jednorodna...

... choć była konkretna. Normy konkretne silniej wpływają na postępowanie niż ogólnikowe („niewidomemu należy pomóc w przejściu ulicy” jest konkretniejsze od „należy pomagać niepełnosprawnym”, a to jest konkretniejsze od „należy być dobrym”). Konkretność normy uniemożliwia elastyczną jej interpretację. (Chociaż czy rzeczywiście? „Nie zabijaj” — brzmi konkretnie, a mimo to prawie każdej armii towarzyszą błogosławiący żołnierzy księża. A wojny religijne! A oddziały „chrześcijańskiej milicji” w Libanie!).

Wadą norm konkretnych jest ich wąskość. Mama pouczyła Piotrusia: „Nieładnie jest pokazywać język babci” i Piotruś pokazał język dobrej mamie. Norma „pomagaj koledze, gdy ma awarię” nie pobudza do udzielania pomocy kierowcy, który nie jest kolegą. Rzecz można, iż duża szczegółowość normy zabija jej ducha. Najskuteczniejsze są normy ogólne szczegółowo rozpracowane: „Należy pomagać sobie wzajemnie — na przykład choremu koledze, w ostatniej klasie przed maturą, składać sprawozdania z lekcji”.

¹ E. Staub *Positive Social Behavior...*, t. II

Odzywa się głos sumienia. Człowiek tym posłuszniej stosuje normę, im skrupulatniej była ona przestrzegana w domu rodzinnym i w bliskim otoczeniu, im częściej widział jej stosowanie, słyszał o niej, według niej innych oceniał i sam przyzwyczał się według niej postępować. Do tego dojść może nacisk społeczny, a więc: ewentualna dezaprobata osób, z których opinią się liczy, lęk przed kompromitacją, sankcją, utratą twarzy; kiedy zaś norma zostaje tak przyswojona, że przeobraża się w zasadę, w silne przekonanie o powinności i obowiązku, harmonizujące z nią postępowanie potrzebne jest człowiekowi także dla dobrego o sobie mniemania. Nie odczuwa on wtedy normy-zasady jako krępującego go, z zewnątrz narzuconego nakazu czy zakazu, lecz sądzi, że ten nakaz czy zakaz pochodzi z niego samego, jest zrośnięty z wyznawanymi wartościami, jest głosem sumienia.

Siła oddziaływania normy-zasady jest większa niż siła normy nie przyswojonej wewnętrznie: ta druga może ulegać zmianom przy zmianie środowiska, może być uznawana, ale nie przestrzegana, może skłaniać do obłudy i hipokryzji, podczas gdy pierwsza kieruje postępowaniem bez względu na aktualne otoczenie, a także wtedy, gdy „nikt nie patrzy i nikt się nie dowie”. Co prawda, tak normy, jak i zasady mają tę wadę, że kto tylko nimi się powoduje, ten stara się nie tyle o to, by drugiej osobie rzeczywiście dobra przysporzyć, ile o to, by „być w porządku”. Spełnia to, co uważa za swoją powinność, doznania zaś drugiej strony są dla niego sprawą drugorzędną. W dodatku dominująca w danym środowisku norma może się kłócić z zasadami etyki i dobroci, no i zazwyczaj daje się obejść.



Nie handel a handel. Życie znajduje sposoby obchodzenia niewygodnej normy. W niektórych szczepach Eskimosów norma zabrania kupna-sprzedazy, więc przyjeżdżający kupiec pozwala wybierać gospodarzom spośród rzeczy, które przywiózł, po czym sam wybiera spośród rzeczy, które oni mu pokazują, a wszystko to odbywa się według ceremoniału wzajemnego obdarowywania się — strony są syte i obyczaj cały. Podobnie na Maori (Nowa Zelandia) tubylec składał prezent drugiemu licząc na to, że ów zrewanżuje mu się w ciągu roku. Nie było targowania się, lecz obowiązywała surowa norma wzajemności. Gdyby wartość rewanżu była niższa od wartości otrzymanego „daru”, ów drugi tubylec byłby skompromitowany.

Dwuznaczny charakter mają także drobne, średnie i duże upominki, które w krajach kapitalistycznych otrzymują od producenta przedstawiciele nabywców. Zwłaszcza na Bliskim Wschodzie takie prezenty są niemal regułą.

Gdy wszyscy podobnie postępują, ja się upodabnam do wszystkich.

Ja też, więc razem. Norma rozumiana jako przeważający w danym otoczeniu sposób postępowania pokrywa się częściowo z pojęciem wzoru w znaczeniu „wszyscy tak robią”. „Ja też”, „Ja tak samo” to hasła konformizmu, który może decydować zarówno o długości włosów, jak i o kosztowności prezentu czy skali pomocy, może mieć znaczenie zarówno negatywne („skoro wszyscy robią na lewo...”), jak i pozytywne (widząc na liście składek na powodzian wysokie sumy, sięgam do sakiewki). Gdybym nie dał, choć inni dali, albo gdybym dał mniej niż inni,

czułbym się gorszy lub obawiałbym się, że inni spojrzą na mnie jak na gorszego.

Ma się rozumieć, że postępowanie, którego głównym motorem jest lęk przed tym, by nie uchodzić za gorszego, jest mniej dynamiczne, mniej pomysłowe i ofiarne niż działanie płynące z autentycznego przekonania i z emocjonalnego zaangażowania, ale w wielu sytuacjach to „ja też tak muszę” ma znaczenie decydujące.

„Ja też, więc razem”! Razem bywamy podlejsi niż w pojedynkę, okrutniejsi, głupsi (oj, dużo głupsi!), ale razem bywamy też odważniejsi, życzliwsi, hojniejsi, a nawet — mądrzejši. Historia zanotowała wiele przypadków, kiedy tłum sprawiedliwych wieszał ludzi poczytywanych za zdrajców na podstawie plotki lub dawał się prowokować do aktów, które — co było do przewidzenia — musiały skończyć się tragedią. Z drugiej strony historia zna przypadki, gdy tłum zwykłych zjadaczy chleba szedł na bohaterską śmierć.

Mówiąc o naśladowaniu z przekąsem rzucamy słowo „moda”. Rzeczywiście, gdy grupa prowadzi jakąś akcję, to jednostki pozostające w zasięgu jej wpływów skłonne są przyłączyć się do tej akcji jakby z mody. Taką modą bywa nawet akcja pomocy. Mody dość szybko mijają, ale — jak z przyjmowanych ról — coś z nich pozostaje. Cośkolwiek w sposobie bycia tych, którzy jej chwilowo ulegli, a bardzo dużo w życiu tych, którzy pozostali jej wierni; ale wtedy moda staje się czymś więcej...

Presję „ja też, więc razem” wzmacnia i utrwala organizacja. Swoją przynależność do organizacji — jeśli jest dobrowolna i, niekoniunkturalna — członkowie odczuwają jako zobowiązanie do działania zgodnego z obowiązującymi w niej normami. Ponadto zdrowa organizacja wywiera silny nacisk społecznego oczekiwania — jej członkowie zapewniają sobie szacunek towarzyszy przez postępowanie w duchu wspólnych ideałów i wzajemnie nad sobą czuwają, by realizować wspólne cele.

O dobrą grę w dobrej roli. L., który pielęgnuje swoją starą gosposię, ten, który wciąż „pożycza” studiującej siostrzenicy, a sam od lat nie może zdobyć się na kupienie garnituru, skrzywił się, gdy wyraziłem podziw dla jego dobroci: „Wcale nie jestem dobry, tylko takiego udaję”.

Żartobliwa opowiedz L. rodzi poważne pytania: czy dobra gra w dobrej roli nie jest więcej warta niż zła naturalność? Czy każdy z nas nie mógłby grać roli, która by go uszlachetniła? Czy jedną z dróg wiodących do dobroci nie jest udawanie dobroci? Czy granica między udawaniem a autentyzmem jest rzeczywiście tak wyraźna, jak to sobie wyobrażamy?

Zjawisko pozostawiania przez grę trwałych śladów stwierdzono eksperymentalnie. Granie przez dzieci roli pomagającego w specjalnie obmyślonej zabawie zwiększa ich gotowość do pomagania innym dzieciom już po zabawie¹. E. Staub sugeruje jako jedną z metod kształcenia postaw altruistycznych aranżowanie zabaw w pomaganie i w potrzebowanie pomocy, po których prowadzący inicjowałby rozmowy związane z treścią odegranych ról.

Kształtuje człowieka nie tylko rola, którą gra udając kogoś, kim nie jest, ale i ta, którą przyjmuje wykonując swój zawód. Że rola może nawet zmienić charakter, stwierdził P. G. Zimbardo w eksperymencie opisanym przez W. Osiatyńskiego².

Zimbardo wybrał grono studentów o wyższym od przeciętnego standardzie moralnym i kazał im grać rolę strażników więziennych; bardzo szybko przyswoili ją sobie, i to tak dobrze, że zaczęli znęcać się nad kolegami-więźniami, stali się wręcz sadystami. W dodatku, jak się z dalszych badań okazało, nie zdawali sobie sprawy ze zmiany, jaka w nich zaszła... Oby w społeczeństwie było jak najmniej złych ról, a jak najwięcej dobrych!

Na styl pracy, a czasem także na zachowanie po pracy wpływa między innymi wyobrażenie człowieka o tym, czego się po nim oczekuje, i o normie obowiązującej w jego zawodzie. Strażak wie, że spodziewamy się jego pomocy w przypadku pożaru nie tylko, gdy jest na służbie, ale także gdy w święta zapali się u sąsiadów choinka. Opinia społeczna i obowiązująca norma nieraz sprawiają, że na przykład... ksiądz udaje lepszego człowieka, niż jest w istocie. Nie, nie wynika z tego życzenie, by było więcej strażaków albo księży, ale życzenie, by nie dopuszczać do zaniżania standardów norm i społecznych oczekiwań.

¹ E. Staub *Positive Social Behavior...* t. II, s. 157.

² W. Osiatyński *Zrozumieć świat*. Warszawa 1980.



Odpłacić tym samym. Na pytanie, czy istnieje słowo wyrażające to, co najważniejsze w międzyludzkich stosunkach, starożytny filozof chiński Konfucjusz odpowiedział: „wzajemność”. Według socjologa G. Simmela „(...) wszystkie międzyludzkie kontakty zasadzają się na schemacie dawania i oddawania, a odwdzięczanie się jest koniecznym spoidłem współżycia”¹; według innego socjologa A. W. Gouldnera „(...) norma wzajemności jest nie mniej powszechnym i nie mniej ważnym elementem kultury niż tabu zabraniające kazirodztwa, choć konkretne postacie wymogu wzajemności zmieniają się zależnie od czasu i miejsca”². Ściślej: Gouldner sądzi, iż „(...) norma wzajemności w swojej postaci powszechnej stawia dwa związane z sobą minimalne żądania: 1) ludzie powinni pomagać tym, którzy im pomogli, i 2) nie powinni szkodzić tym, którzy im pomogli”.

Innymi słowy, norma, o której mowa, nakazuje rewanżować się jakby według porzekadła „słowo za słowo, dar za dar”. Norma ta na ogół jest przestrzegana przynajmniej wtedy, gdy rewanż nie kosztuje zbyt drogo; na komplement staramy się odpowiedzieć komplementem, na uprzejmość — uprzejmością; zaproszeni na obiad, uważamy za konieczne zrewanżować się podobnym zaproszeniem lub przynajmniej pojawić się z butelką wina; kiedy kumpel postawił, drugi czuje się zobowiązany też postawić. W rezultacie, gdy kumpli jest więcej i każdy jest „honorowy”, honory te kładą tego i owego do rynsztoka — tego Konfucjusz nie przewidział.

Widać, że norma wzajemności, jak każda inna, ulega wypaczeniom i wynaturzeniom. To paradoks, ale u źródeł tych wypaczeń leży nieraz nadgorliwość w jej przestrzeganiu. B. Malinowski zauważył, że w niektórych plemionach normy „jeśli ktoś mi pomógł, to przy najbliższej okazji ja muszę mu pomóc” przestrzega się skrupulatniej niż w społeczeństwach cywilizowanych³. Gouldner opisuje, że (do dziś) na Filipinach, jeśli ktoś na przykład zapłacił honorarium lekarzowi, który opiekował się chorym znajomym, to ów znajomy może się czuć zobowiązany — i w opinii otoczenia jest zobowiązany — do, powiedzmy, postarania się o dobrą posadę dla syna tego znajomego.

A u nas? Obiło mi się o uszy takie postawienie sprawy: „Ja ci kiedyś pomogłem, gdy miałeś kłopoty z szefem, więc ty musisz mi pomóc rozwieść się z żoną”. Trzeba jasno powiedzieć, że norma wzajemności, jeśli nawet rodzi uzasadnione oczekiwanie, to jednak nie rodzi prawa do żądania rewanżu, zwłaszcza takiego, który wymagałby naruszenia innych norm czy zasad. Ormianie mówią: „Ręka rękę myje i obie są czyste”; trawstując to przysłowie powiem: obłocna ręka drugą rękę zbruka.

Najbardziej znanym wynaturzeniem omawianej normy jest tzw. potlacz. W plemieniu Kwakutłów publicznie obdarowany musiał publicznie rewanżować się, i to z nawiązką; jeśli nie zdołał — przegrywał, tracił szacunek, ulegał społecznej degradacji. W rezultacie hojne dary były w tym plemieniu wrogim wyzwaniem, mającym na celu poniżenie biorcy, a strony zasypywały się ogromnymi ilościami niepotrzebnych przedmiotów. Czy my nigdy nie podejmujemy podobnie bezsensownych licytacji wzajemnego obdarowywania się?

¹ G. Simmel według K. W. Wolffa *The Sociology of George Simmel* Glencoe III. Free Press 1950, s. 387.

² A. W. Gouldner *The Norm of Reciprocity*. „American Sociological Review” 1960, s. 171.

³ B. Malinowski *Crime and Custom in Savage Society*. London 1932.



Z poczucia sprawiedliwości. Sądzę, iż akceptowane normy leżą także u podstaw poczucia sprawiedliwości. Uważamy, iż „nie jest w porządku”, gdy cierpi ktoś, kto absolutnie na to cierpienie nie zasłużył. „Tak nie powinno być” — myślimy i może staramy się przyczynić do tego, by było tak, jak według nas powinno być. Angażujemy się w obronę pokrzywdzonego, staramy się mu pomóc dlatego, że w ogóle cierpi, i dlatego, że na cierpienie nie zasłużył. Tę podwójną motywację zauważyła M. Ossowska. „Gdy się bowiem mówi o uczuleniu na czyjąś krzywdę, trzeba pamiętać, że krzywda rozkłada się na dwa czynniki: cierpienie i niesprawiedliwość. Reagują na nie dobroć i poczucie sprawiedliwości”¹. Działamy na rzecz pokrzywdzonego dlatego, że przestrzegamy norm-zasad: należy nieść ulgę bliźniemu, dbać o słuszność, poprawiać bezsensowne, a okrutne kaprysy losu. Ciekawe, że w języku hebrajskim słowo „miłosierdzie” i słowo „sprawiedliwość” ma ten sam źródłosłów: „cedek”, jakby czynienie miłosierdzia było zarazem czynieniem sprawiedliwości. Obrona uciśnionych, opieka nad słabym w imię sprawiedliwości to piękna myśl, choć ma się rozumieć, miara dobroci jest większa niż miara sprawiedliwości.

Ujemnym następstwem kierowania się w dawaniu samą tylko sprawiedliwością może być uchylanie się od pomagania tym, którzy — w naszym pojęciu — na swoje cierpienie zasłużyli. Charakterystyczne wypowiedzi takich sprawiedliwych: „Sam się wpakowałem w tę sytuację, ja go nawet ostrzegałem, dlaczego miałbym mu teraz pomagać?”, „Był lekkomyślny, teraz ma za swoje”, „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”, „Jeśli ktoś nie myśli, niech ponosi konsekwencje”.

Na niewystarczalność normy sprawiedliwości zwrócił uwagę Jan Paweł II w encyklice *Dives in misericordia* pisząc, iż „(...) dalekie od sprawiedliwości może stać się działanie ludzkie, nawet jeśli podjęte jest w imię sprawiedliwości”, ponieważ wypaczyć ją może „zawziętość, nienawiść czy nawet okrucieństwo”. Koniecznym według Papieża uzupełnieniem normy sprawiedliwości jest duch miłości i gotowość do przebaczenia: „Świat, z którego wyeliminujemy przebaczenie, może być tylko światem zimnej, bezwzględnej sprawiedliwości, w imię której każdy będzie dochodził swoich praw w stosunku do drugiego, a drzemiące w człowieku egoizmy różnego gatunku mogą albo zamienić życie i współżycie ludzi w system ucisku słabszych przez silniejszych, albo też w arenę nieustannej walki jednych przeciw drugim”.

Przejawem dążenia do sprawiedliwości jest zadośćuczynienie krzywdzie lub cierpieniu, do którego przyczyniliśmy się. Chcemy móc myśleć o sobie jako o człowieku sprawiedliwym i porządnym, dlatego dokuczają nam myśli, że jesteśmy komuś coś winni lub że ktoś przez nas cierpi. Niektóre zadośćuczynienia są przewidziane prawem, lecz norma żąda więcej niż kodeks. Z głupiego powodu podnieśliśmy głos na przyjaciela — teraz aż przesadzamy w kurtuazyjnym traktowaniu go. Zgubiliśmy jego książkę — przynosimy mu cenniejszą.

Zdarza się nawet, że skrzywdzenie jednego człowieka skłania nas do wyświadczenia dobra innemu — jakbyśmy chcieli w ten sposób poprawić swój obraz własny¹.

Z pojęciem sprawiedliwości spokrewnione jest pojęcie odpowiedzialności.

Dzięki nim życie jest trochę lepsze.

W prawie, a tym bardziej w przekonaniu społecznym funkcjonuje norma odpowiedzialności za bliskich i zależnych. Nawet nie za bardzo kochający mąż poczuwa się na ogół do odpowiedzialności za losy i zadowolenie swojej partnerki życia, nawet nie najbardziej solidny przewodnik, gospodarz czy kierownik dba o swoich podopiecznych, gości czy podwładnych... Człowiek źle się czuje, gdy nie wypełnia tego, co uznaje się za jego obowiązek.

Im bardziej ta odpowiedzialność jest sprecyzowana, tym bardziej odczuwana jest jako wiążąca — ogólnie i w konkretnych sytuacjach. Gdy matka powie starszej córce: „Wychodzę, Zosia zostaje pod twoją opieką”, to starsza będzie troskliwiej opiekować się małą, niż wtedy gdy matka zwróci się z prośbą do wszystkich pozostających w domu: „Opiekujcie się...” (porównaj s. 8 „Odpowiedzialność rozproszona”).

¹ M. Ossowska *Motywy postępowania*. Warszawa, 1949, s.246.



Poczucie odpowiedzialności i obowiązku wraz z towarzyszącymi mu świadczeniami ma dwa zakresy: odpowiedzialności za większą lub mniejszą liczbę osób lub zobowiązania do większych lub mniejszych świadczeń na rzecz choćby jednej osoby. O szlachetności postępowania mówimy wtedy — choć nie tylko — gdy człowiek szeroko traktuje swoje zobowiązania i odpowiedzialności w zakresie osobowym i rzeczowym. Nauczyciel, któremu się zdarza pomagać nie tylko dzieciom, ale także ich rodzicom, rozszerza zakres osobowy, a zakres rzeczowy rozszerza na przykład sprzedawca w desie, który wiedząc, że klientowi zależy na gotówce, telefonuje do niego zawiadamiając, że obraz został sprzedany; lekarz, który — wobec poważnego stanu chorego i braku opieki nad nim — sam przynosi z apteki lekarstwa; urzędnik, który dyktuje bezradnemu interesantowi skierowane do siebie podanie; mechanik, który odrywa się od swej obrabiarki, by usprawnić pracę młodszego kolegi. Są tacy. Dzięki nim życie jest trochę lepsze. Dzięki tym, którzy dają ekstra.

Zważmy przy okazji, że nie zasługują na piękne miano daru świadczenia przewidziane prawem, surowo egzekwowane normą lub wymuszane szantażem. Nie są darem zasądzone alimenty, nie całkiem dobrowolna praca społeczna, scyzoryk, który dostał skarżypyta w zamian za milczenie, ani złoty pierścień, który trzeba co roku ofiarować szefowi mafii.

A wynagrodzenie za usługi zawodowe? Tu sprawa jest jasna, choć z zakręconym ogonkiem w postaci nie przewidzianego umową napiwku. Jeśli londyńskiemu taksówkarzowi nie dam ponad taryfę, zbeszta mnie. Więc daję, ale to nie dar. A jeśli poznawszy we mnie cudzoziemca, który pierwszy raz jest w Londynie, powie mi coś interesującego o ulicach, którymi jedziemy? Wtedy za dodatkowe świadczenia dodatkowo płacę. A uśmiech ekspedientki, jej informacja lub rada? W prywatnym sklepiku, który jeszcze zabiega o klientów, taka uprzejmość może być interesowna, tak samo w krajach kapitalistycznych, gdzie zjednuje się klientów, lecz w tak zwanych delikatesach, przed którymi i tak są ogonki, życzliwość obsługi jest bezinteresownym ekstra.

Pisząc o tym „ekstra”, które czyni życie trochę lepszym, zbliżyłem się do motywacyjnej siły miłości i dobroci.

¹ D. Bar-Tal *The Prosocial Behavior...* s. 144.

MIŁOŚĆ I DOBROĆ

Im bliższy człowiek... Dajemy, bo mamy w tym taki lub owaki interes, dajemy, bo taka jest norma, ale dajemy także, dajemy najpiękniej dzięki inspiracji sympatii, życzliwości i miłości.

Do stojącej w kącie puszkę nic nie wrzucę, do puszkę podsunętej przez obcą kwestarkę — coś niecoś włożę, do puszkę kwestującej znajomej — dużo więcej; z samą puszką nie mam żadnej psychologicznej więzi, z puszką obcej — mam słabą, z puszką znajomej — więź jak drut.

Nieznany i gdzieś daleko żyjący człowiek jest — gdy brak mi wyobraźni — puszką stojącą w kącie katedry; jeśli go znam i widzę, jego potrzeby i sprawy trochę mnie obchodzą; jeśli go znam, widzę, a ponadto lubię — bardzo mnie obchodzą. „Ma się rozumieć, że ci kupię te bilety! — mówi B. — Przecież znamy się tyle lat”.

Gotowość do pomocy i hojności jest wprost proporcjonalna do bliskości danego człowieka. Bliskości fizycznej i psychicznej. Bardziej jest prawdopodobne, że udzielimy pomocy leżącemu po stronie ulicy, po której idziemy, niż leżącemu po drugiej stronie. Nawet gdy ulica jest wąska. Charakterystyczne, że bardziej jest prawdopodobne, iż pomożemy współpasażerowi siedzącemu naprzeciw nas niż siedzącemu obok. Jedną z przyczyn, dla których w małej grupie ludzie częściej pomagają sobie niż w dużej, jest to, że w małej czują się jakby w jednej łodzi i są bliżsi sobie. W małych grupach dawanie według możliwości, a branie według potrzeb jest postulatem realnym.

Wiadomość o obcym, który wszystko stracił w pożarze, skłoni mnie do dania może starego swetra; widok obcego pogorzańca — do dania całego starego ubrania; znajomemu w tej samej sytuacji dam porządniejsze odzienie, a przyjaciela nie tylko odzież, ale zaproponuję, by tymczasem u mnie zamieszkał. To naturalne i nawet sankcjonowane przez Talmud: „Krewni biedni mają pierwszeństwo przed biednymi miejscowymi, biedni miejscowi zaś mają pierwszeństwo przed ubogimi innych okolic”¹, i Ojca Kościoła²: „Bo chociaż większa jest dobroć, którą się obcym wyświadcza, nie pierwsza przecież od tej, która się wprzód najbliższym należy”³. Tak, to naturalne — nawet szympany dzielą się żywnością raczej ze znajomym osobnikiem niż z obcym. Postępując zgodnie z tym naturalnym prawem nie waham się i gdy w długim ogonku przed postojem taksówek widzę staruszkę z laską i młodego znajomego, nie jej, a jemu proponuję podwiezienie; gdy mam okazję polecić kogoś do atrakcyjnej pracy, polecam przyjaciela zamiast dalszego znajomego, nawet takiego, o którym mogę przypuszczać, że lepiej by się sprawdził i bardziej tej pracy potrzebuje. Postępuję tak samo jak szympany. Norma bliskości nieraz klóci się z normą sprawiedliwości. W tym kontekście ciekawie brzmi — sprzeczne z poprzednimi cytatami — objaśnienie innego Ojca Kościoła — św. Jana: „(...) Kto przyjacielowi dobrze czyni, nie działa z samej tylko miłości Boga; kto jednak nieznanemu wychodzi naprzeciw, działa tylko, by spełnić wolę Bożą”⁴.

Więc — im większa sympatia... A co ją zjednuje? Wygląd danej osoby, jej płeć i wiek, sposób bycia, opinia, jaką się cieszy, jej stosunek do nas i do tego, co nam jest drogie. W kontaktach między panami a panienkami różnie bywa, ale w pozostałych trudno wyobrazić sobie obdarowywanie i wspieranie kogoś, o kim wiadomo, że jest kanciarzem i wydrwigroszem. Człowiek uczciwy i koleżeński, który wpadł w opałę, bardziej może liczyć na pomoc niż cwaniak i karierowicz. Powiem naiwnie: istnieje coś na kształt braterstwa porządných ludzi. .

Jednakże przekonanie się o czyichś najistotniejszych cechach charakteru wymaga czasu i wielu prób; krążące o nim opinie nie zawsze są godne zaufania, dlatego nieraz decydujące znaczenie w zjednywaniu sympatii mają uprzejmości i ta grzeczność, która małym kosztem pozyskuje wielką sympatię. (Mówi się czasem lekceważąco, że uprzejmość to drobna moneta współżycia, ale przecież właśnie drobna moneta krąży nieustannie, to jej, a nie wielkich banknotów, potrzebujemy w każdej godzinie życia).

¹ *Talmud, Babumuecyca*, rozdz. I. Według D. Rundo *Przypowieściowy leksykon talmudyczny, midrasowy*. Warszawa 1887.

² Ojcowie Kościoła — ci z najstarszych pisarzy kościelnych, którzy zostali uznani przez Kościół za świadków przekazanej nauki o wierze.

³ L. Tartulian (160—220) przeciw Marcjanowi 11 p. 3971 za *Konkordancją z dzieł Ojców Kościoła i pisarzy katolickich*. Poznań 1908.

⁴ Św. Jan Złotousty *Homilia na List do Hebrajczyków* 10.4. wg *Texte der Kirchenväter*, t. III. Monachium 1963 (tł. S. G.).

Chętniej ponosimy trudy i ofiary na rzecz osób, które przyjaźnie się do nas odnoszą, niż na rzecz tych, które nie żywią w stosunku do nas miłych uczuć; lubimy tych, którzy nas lubią, i okazujemy to między innymi drobnymi i niedrobnymi świadczeniami. Podobnie lubimy raczej tych, z którymi współdziałamy, niż tych, z którymi rywalizujemy; współdziałanie wzmacnia gotowość do świadczeń na rzecz towarzyszy. Nawet gdy członkowie rywalizujących drużyn dobrze się znają, więcej widzi się drobnych usług w obrębie jednej drużyny niż między członkami drużyn przeciwnych. Zwłaszcza tuż przed meczem i zaraz po nim.

Dalej: człowiek, który podobnie do nas myśli, jest nam bliższy od tego, który myśli i czuje inaczej, stąd znaczenie, jakie dla wzajemnej gotowości do świadczeń ma wspólność postaw i przynależności. Inaczej mówiąc, jesteśmy bardziej uczynni w stosunku do osób, które opowiadają się za tymi samymi, co my, ideami i programami. W silnie zintegrowanych grupach wymiana świadczeń jest żywsza niż w grupach słabo zintegrowanych; zatem wszystko, co łączy: podobieństwo obyczajów i postaw, wspólna walka o realizację wspólnych celów, wspólne przeżycia, zwłaszcza cierpienia, wzmacnia gotowość do wzajemnej pomocy.

Oddzielnie podkreślę wpływ wspólnej wrogości. Niejeden może powiedzieć, że wrogowie jego wrogów są jego przyjaciółmi. Faktem jest, że im wyższa temperatura sporów, tym bardziej zwiera się krąg, w obrębie którego obowiązuje wzajemność świadczeń. Ta wysoka temperatura zniechęca do dawania-pomagania osobom poczytywanym za wrogów, a zachęca do dawania-pomagania osobom tego samego obozu. Krzywdzeni solidaryzują się z krzywdzonymi, a prześladowcy — oni też czują się zagrożeni — z prześladowcami. Częstym tematem rozmów stają się przykłady wspaniałych aktów pomocy i przerażających aktów bestialstwa — opowiadania te dodatkowo zacieśniają więzy przyjaźni i pobudzają do ofiarności. Píše o tym J. Reykowski:

„Nie wszędzie we współczesnym świecie zachodzi proces utraty poczucia przynależności. Przeciwnie, są także takie grupy i takie społeczności, w których ten proces nie tylko nie słabnie, ale się nasila. Są to najczęściej grupy dyskryminowane lub prześladowane. Dyskryminacja i prześladowanie prowadzą do silnego wyodrębnienia własnej przynależności grupowej, wyrazistego zaakcentowania podziałów my-oni, a równocześnie do pojawienia się bardzo silnej wrogości wobec prześladowców oraz obojętności wobec losu tych, którzy nie należą do kategorii «my». Tak więc, w tym wypadku można mówić o istnieniu silnie zaznaczonych postaw prospołecznych wobec swoich”¹.

Natomiast to, jak się zachowujemy wobec całkowicie obcych osób, o których poglądach i przynależnościach nic nie wiemy, zależy od naszego życzliwego lub nieżyczliwego stosunku do ludzi w ogóle.



Życzliwy chce i umie. Przez życzliwość rozumiem coś więcej niż sympatię, a mniej niż dobroć. Można żywić do kogoś sympatię, ale nie okazywać mu jej; życzliwość to sympatia aktywna, a dobroć przejawia się w ponoszeniu większych trudów i ofiar, niż je inspiruje sama życzliwość.

Chyba każdy człowiek jest komuś życzliwy, ale nie każdy jest ludziom życzliwy, nie każdy gotów jest świadczyć drobne przysługi zupełnie obcym osobom, i to nie z lodowatej zasady, nie z poczucia powinności, nabytego może dzięki kiedyś przebytej musztrze, ale z potrzeby serca.

„Potrzeba serca”, zwrot ckliwy i pretensjonalny, dobrze jednak oddaje uczucie, które nakazuje z uśmiechem i z dobrym słowem pomóc starszej kobiecie wnieść torbę zakupów na czwarte piętro, doradzić w sklepie obcemu mężczyźnie, którą główkę kapusty ma wybrać, uspokoić dziecko, które zgubiło mamę, i pomóc mu ją odnaleźć...

Życzliwy nie tylko chce ułatwiać i umilać życie ludziom, ale także ma szansę lepiej to robić niż ci, którym brakuje ciepła sympatii. To ona zaostrza spostrzegawczość, umożliwia wczuwanie się w położenie obcych i nieobcych, odgadywanie ich drobnych i niedrobnych potrzeb, wzbogaca pomysłowość inicjatyw.

¹ J. Reykowski *Motywacje, postawy społeczne a osobowość...*, s. 394.

Przeciwieństwem życzliwego jest sobek-mizantrop. Nie lubi on ludzi, może nawet stroni od nich, a w każdym razie jest zdania, że nic dla nich robić nie warto. „Nie mam z ludźmi nic wspólnego” — zdaje się mówić, w przeciwieństwie do człowieka życzliwego, który dając wyraża uczucie wspólnoty. Nieżyczliwemu jest źle i z nim jest źle...

Co prawda i nieżyczliwy potrafi się zmienić pod wpływem dużego uczucia — staje się wtedy innym człowiekiem, choć pewnie tylko w stosunku do obiektu miłości.



Całego siebie dać. Dojrzałość — różnie się ją definiuje, ale dla mnie jej kryterium sprowadza się do rachunku brania-dawania: dojrzałym jest człowiek wtedy, gdy więcej z siebie daje, niż dla siebie bierze. (Pomysł takiego kryterium podsunęła mi dziewczyna, która wyznała: „Poczułam się dorosła, gdy za pierwsze zarobione pieniądze kupiłam mamie sukienkę”). Ściślej: zdrowy człowiek jest tym bardziej dojrzały, im większą część swych myśli, energii i środków przeznacza na realizację celów nie związanych z jego osobistą konsumpcją. Dojrzały — między innymi do miłości.

Bo miłość pragnie aktywnie się przejawiać; kochać to przede wszystkim dawać (nawet samiec rybitwy obdarza piękną rybą samiczkę, o której względy się stara). W bajkach — czy tylko w nich? — znajdujemy wiele opowiadań o takich dowodach, nawet o ich wymaganiu. W tych bajkach miłość zakochanego przewycięża gigantyczne przeszkody, przekracza siedem gór i siedem rzek, pokonuje strzegących skarbów czarowników i smoków, zdobywa i przynosi wymagany dar — rajskiego ptaka lub wodę życia. Taka jest wola i taka, w bajkach, moc miłości!

Bajki są mądre — rzeczywiście wielkość podejmowanych trudów, wielkość ofiar i wyrzeczeń świadczy o sile motywacji; jeśli jest nią miłość — o sile miłości. Typowe są deklaracje: „Dam ci wszystko, wszystko...”, „Żądaj, czego tylko chcesz!”. Bezgraniczna miłość do człowieka — albo do sprawy — wyraża się gotowością (lub jej złudzeniem) do bezgranicznych świadczeń. Dla prawdziwie kochającego słowa to mało, słowa nie wystarczają, chce on dawać dużo, całego siebie, nie tylko ciało, ale i całe życie z duszą razem, a dając nie odczuwa zubożenia, lecz wzbogacenie, nie żal, lecz przeciwnie, ogromną radość.

Czy zauważyłeś, Czytelniku, że ludzie nam czas zabierają, że czasu się nie daje, ale się go poświęca? Właśnie, ale nie odczuwamy jako przykrego poświęcenia pomagania komuś, kogo kochamy. Nie poświęcałem czasu, ale radośnie go dawałem matce, gdy pomagałem jej w robieniu mazurków...

*(...) jeżeli kochasz czas zawsze odnajdziesz
nie mając nawet ani jednej chwili
na spotkanie list spowiedź na obmycie rany
na smutku w telefonie długie pół minuty
na żal niespokojny i na rozeznanie
że dobrzy są mniej dobrzy a źli trochę lepsi
bo w życiu jest tylko moral niemoralny.*

J. TWABDOWSKI Nie mam czasu

„Nie wiem, czy ją naprawdę kocham” — zwierzył mi się dwudziestolatek takim tonem, jakby chciał, żebym to ja zdecydował. Spróbowałem stanąć na wysokości zadania: „Czy często myślisz, czym możesz sprawić jej radość, w czym pomóc, jak być jej potrzebnym?” „Chyba nie - odpowiedział szczerze — ale gdy jej przy mnie nie ma, bardzo odczuwam brak, bardzo tęsknię”. „To pragnienie — orzekłem — nawet może gorące uczucie, ale nie miłość, przynajmniej nie miłość tak, jak ja ją pojmuję”.

Piszę tylko o międzyludzkich stosunkach i dlatego wystarczy, jeśli przypomnę, że uczuciem miłości można darzyć nie tylko konkretnych ludzi. „Miłość ojczyzny” nie jest pustym frazesem, ani nie jest nim zdanie: „Wszystko dla niej poświęcimy”. Ludzi, którzy żyli przede wszystkim dla ojczyzny, były setki tysięcy, a ludzi, którzy dla niej umierali — miliony.

Kochać wszystkich — to niemożliwe; miłość bliźniego jest postulatem równie pięknym, jak nierealnym, ale niekiedy spotyka się kogoś, kogo można uczcić najwspanialszym tytułem — człowieka dobrego.



Szanuję tylko dobroć. Nie potrafię pisać o dobroci celniej i piękniej, niż to zrobił S. Maugham w swoich autobiograficznych notatkach: *The Summing up*.

„Wstydzę się kończyć książkę takimi banałami. Z moją skłonnością do efektu wolałbym rzucić tu błyskotliwym paradoksem. Czytelnik, chichocząc, rozpoznałby w nim charakterystyczny dla mnie cynizm i również byłby zadowolony. Tymczasem nie mam do powiedzenia nic ponad to, co można znaleźć w każdym elementarzu lub wysłuchać z każdej kazalnicy. Przebyłem długą drogę, długo krążyłem, by odkryć to, o czym każdy dobrze wie.

Mam niewiele skłonności do szanowania czegokolwiek. Obcym mi jest także uczucie czci. I tak zbyt wiele jest go na świecie. Czci i szacunku wymaga się dla wielu rzeczy, które w najmniejszym stopniu na cześć i szacunek nie zasługują (...). Lecz gdy kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać prawdziwą dobroć, serce moje natychmiast wzbierało czcią. Nie przeszkadzało mi w tym, że jej rzadcy kustosze byli czasem troszeczkę mniej inteligentni, niż bym chciał ich widzieć.

Gdy jako małemu chłopcu zdarzyło mi się być bardzo nieszczęśliwym, marzyłem nieraz, że życie w szkole jest złym snem jedynie i że obudziwszy się, znajdę się znowu w domu i znowu z mamą. Jej śmierć była dla mnie raną, która jeszcze dziś po pięćdziesięciu latach nie zabiła się. Owo marzenie już mnie nie nawiedza, lecz dotąd miewam chwile, gdy czuję, że życie tu jest tylko złudzeniem, że to i tamto robię, bo tak jakoś robić wypada, lecz że nawet wtedy, gdy najaktywniejszą gram rolę, mogę patrzeć na wszystko z pewnego dystansu jak na złudną grę pozorów. Gdy patrzę wstecz na moje życie z jego długim ciągiem porażek i powodzeń, z jego nieskończonymi błędami, z rozczarowaniami i spełnieniami, z nieszczęściami i radościami, wydaje mi się ono przedziwnie nierealne. Jest jakby tylko pozbawionym substancji cieniem. Być może, że serce moje, nigdzie nie znalazłszy wytchnienia, dusi w sobie jakąś pierwotną potrzebę Boga i nieśmiertelności, z którą rozum nie może sobie poradzić. W braku czegoś lepszego, wydawało mi się czasami, że mógłbym dać się przekonać, że ta dobroć, z którą ostatecznie nieczęsto się spotykałem, była jedyną rzeczywistością. Być może, że w dobroci dopatrzeć się możemy nie treści życia, nie jego wytłumaczenia, lecz po prostu złagodzenia. W tym obojętnym wszechświecie, z jego nieuchronnym złem, które otacza każdego w jego pochodzie od kołyski do grobu, posłużyć może ona nie jako wyzwanie, nie jako odpowiedź, lecz jako zaznaczenie swojej niezależności. Jest to reakcja poczucia humoru na tragiczną absurdalność losu” (tł. S. G.).

Radość sprawiania radości. Znana szlachetnym ludziom jest radość dawania, ta, o której wspomina E. Orzeszkowa (*Gdzie szczęście*), B. Prus (*Emancypantki*), a współcześnie E. Fromm (*Sztuka miłości*).

Piekarka w opowiadaniu E. Orzeszkowej wypiekała w czasie głodu chleb dla biednych. Gdy wyczerpała własne zapasy mąki, piekła z wyżebranej. Lud czcił ją, dziękował. „Ale ona przed lud, który ją wysławiał, wyszła znużona i cicha. Sługą waszą jestem — rzekła — i czyniłam to, co wieszczy sen mi czynić rozkazał. Teraz chętnie z tej ziemi ustąpię, bo u wierzchołka jej szczęścia już byłam i nic lepszego nad to, co zagnałam, osiąść nie mogę”. Piekarka ta musiała być podobna do Madzi z *Emancypantek*, która zapytana, co to jest szczęście, odpowiada: „Gdy wszystkim dokoła jest dobrze, wtedy człowiek czuje się szczęśliwy”. „To cudze szczęście — rzekł Solski. — Ale jak pani sobie wyobraża swoje własne szczęście?” „Największe własne szczęście jest wtedy, kiedy człowiek może robić dobrze”. E. Fromm skomentowałby: „(...) dawanie samo w sobie jest doskonałą radością...”¹.

Tak, jest ono radością już choćby dlatego, że osiągnięcie celu, jakim było sprawienie radości, daje poczucie własnej mocy czy wartości i zadowolenie z sensownego działania. Ten motyw wyraźnie zadźwięczał w wypowiedziach dawców nerek.

„Czuję się teraz lepszym człowiekiem”. „Nareszcie zrobiłam coś wartościowego”. „Teraz więcej sobie ufam, więcej się szanuję”.

„Lepiej o sobie myślę. Czuję, że skoro na to się zdobyłem, stać mnie na wszystko” (J. R. Maculay).

Jednakże takie myśli nie są decydującym motorem ofiarnych czynów, sądzę, że silniejszym ich impulsem jest pragnienie niesienia ulgi, a ono z kolei pochodzi między innymi, może głównie, ze współczucia.



Twoje przeżycia — moimi. Powtarzam, iż zimno daje, kto kieruje się interesem, samym poczuciem obowiązku, normą czy zasadą, ciepło daje, kto idzie za głosem serca. Przez głos serca rozumiem dawanie z sympatii i empatii.

Empatia znaczy tyle, co współ-czucie, współ-doznanie. Współdoznają, gdy czyjeś cierpienie mnie sprawia cierpienie, a czyjaś radość mnie sprawia radość.

Wczuwanie się w cudze stany psychiczne, odczytywanie cudzych uczuć, odgadywanie, co się dzieje w drugim człowieku, to więcej niż stawianie się na czyimś miejscu, to stawianie się na czyimś miejscu z jego ambicjami, wrażliwością, uwarunkowaniami itd. Nie jak ja bym się czuł w jego skórze, ale jak on czuje się w swojej. Ja nie boję się wejść na ciemne schody, ale ktoś może się bać — gdy to zauważę, odprowadzę go do drzwi.

Skoro cierpię, gdy ktoś cierpi, staram się jego — a tym samym moje — cierpienie złagodzić, skoro cieszę się, gdy ktoś się cieszy, staram się mu — a tym samym sobie — radości przysporzyć. Jego przegrane są trochę moimi przegranymi, więc o ile mogę, zapobiegam im; jego wygrane są trochę moimi wygranymi, więc o ile mogę, zabiegam o nie.

Współdoznawanie — choć nigdy zupełne, nigdy doskonałe — jest silnym bodźcem woli i trafności dawania, dlatego postaram się wyliczyć warunki, które je utrudniają, i te, które je ułatwiają.

Utrudnia empatię, a tym samym zmniejsza gotowość do bezinteresownych świadczeń, wszystko, co powiększa dzielące ludzi dystanse fizyczne i psychiczne: różność obyczajów, kultur, sprzeczność interesów, poglądów i postaw, a także te wszystkie nastawienia kulturowe, które wyolbrzymiają różnice między pciami, rasami i innymi przynależnościami: kobieta-niewolnica uchodziła tylko za człowiekopodobne stworzenie, więc jej cierpienia nie budziły zbyt wielkiej litości; Murzyn w oczach rasisty jest tylko wyższym gatunkiem małpy; głęboka przepaść klasowa stwarzała emocjonalny dystans między kapitalistą a jego siłą roboczą; gestapowiec nie współczuł Żydom.

¹ E. Fromm *O sztuce miłości...*, s.38

Jeszcze utrudniają empatię te czynniki, które indywidualnie zawężają horyzonty myślowe i uczuciowe — przede wszystkim ześrodkowanie na sobie (egotyzm). Bywa ono trwałą cechą charakteru albo stanem przejściowym wywołanym przez niezaspokojenie własnych silnych potrzeb, spiętrzenie trudności, lęki, cierpienia, stresy, gniew, itp. (Po odniesieniu sukcesu, odprężony, w pogodnym nastroju, jestem bardziej otwarty na cudze problemy i cierpienia niż po porażce, zdenerwowany lub przygnębiony). Zawęża horyzonty myśli i uczuć także wysoki stopień skoncentrowania na zadaniu: mogę sobie wyobrazić reportera, który z zapalem filmuje następstwa wypadku, choć mógłby się włączyć do akcji ratowania ofiar.

A co uczuciowy horyzont rozszerza?

Wspomniana już bliskość. Współdoznawanie zachodzi tym pewniej i jest tym silniejsze, im bliższy jest kontakt, im bliższa pod każdym względem jest dana osoba. Opowiadanie koleżanki o śmierci ojca ścisła mi gardło — dużo słabiej reagowałbym czytając nekrolog. Jeżeli widzę petenta albo — podczas wizji lokalnej — jego rodzinę i mieszkanie, mój stosunek do jego sprawy będzie inny niż wtedy, gdy tylko przeczytam podanie. Silniej wzruszam się przeżyciami kogoś, kogo znam, lubię i często widuję, niż nieznanego, nie lubianego, rzadko spotykanego.

Dalej — ułatwia empatię podobieństwo. Silniej przeżywam troski i radości osób, które mają takie same jak ja zwyczaje i zamiłowania, poglądy i przynależność organizacyjną. Pijak, który nie może dźwignąć się z rynsztoka, budzi wstręt u niepijaków, ale litość kumpli pijaków. Nie wzrusza mnie los szczupaka na haku, a wzrusza los sarny w potrzasku; wiem, że daleko mi do wdzięku sarny, ale raczej, do niej niż do szczupaka mogę powiedzieć po kiplingowsku: „Ja i ty jesteśmy jednej krwi”.

Poza bliskością i podobieństwem charakterów ułatwia empatię podobieństwo sytuacji minionej lub aktualnej. Jeśli kocham i szaleję, dobrze rozumiem kogoś, kto kocha i szaleje. Jeśli tylko pamiętam, co kiedyś pod wpływem miłości wyczynałem — też go rozumiem, choć... trochę mniej. Jeśli nigdy nie wariowałem z miłości, to zupełnie nie rozumiem, jak ktoś mógł skoczyć z najwyższego piętra domu, w którym mieszka ta „jedyna”. Otwierając to samo zagadnienie innym kluczem: mądre świadczenia muszą być poprzedzone dostrzeżeniem czyjejs nie zaspokojonej potrzeby, a ono jest uwarunkowane nie tylko ogólną spostrzegawczością, wyobraźnią i inteligencją, ale także doświadczeniem. „Bogaty biednego nie rozumie” ani ten, kto zwykle wygrywa, nie rozumie stale w życiu przegrywającego — stąd opisana już „wspólnota biedy”.

Siła współdoznającego wzruszenia zależy jeszcze od obiektywnej sytuacji, od ekspresywności przeżycia jej głównego aktora i od chyba wrodzonej pobudliwości świadka. Widok i krzyk tonącego przejmują silniej niż informacja o liczbie utonięć. Jęki bólu — silniej niż samo narzekanie. Obok ludzi, którzy widząc oderwanie się alpinisty od skalnej ściany odczuwają tylko ciekawość i dreszczyk, jakby oglądali film sensacyjny, są inni, którzy dostają zawrotu głowy obserwując nawet łatwą wspinaczkę.



Sama empatia to mało. Powiedziano, że dawanie inspirowane uczuciem i wzruszeniem jest ciepłe, nie znaczy to jednak, że za empatią zawsze idzie dobroć i że empatia jest pod każdym względem najwartościowszym lub wystarczającym bodźcem działań. Kto kieruje się samą motywacją empatyczną, wzruszeniem, ten daje tylko, gdy wiadomość o czyjejs potrzebie dociera do niego we wzruszającej postaci, i daje póty, póki trwa to wzruszenie.

Weźmy i to pod uwagę, że trudno współ-doznawać z abstrakcją, a dla większości ludzi duże zbiorowości są tylko abstrakcją (znałem niejednego, który gotów był ponieść ofiary na rzecz konkretnych ludzi, ale nigdy nie przyłączył się do żadnej akcji społecznej). Wiedząc o tym rzecznicy wielkich akcji pobudzają do ofiarności przez personifikowanie abstrakcji, na przykład rozpowszechniają obrazek wynędzniałego dziecka przypominającego o losie i potrzebach milionów niedożywionych dzieci w krajach trzeciego świata.

Naiwnie przeceniałby rolę empatii także ten, kto by sądził, iż każde współdoznawanie owocuje daniem.

Wzruszenie czyimś nieszczęściem może spowodować nie dar, lecz... odwrócenie głowy i ucieczkę. „Kobieciątko” jest zbyt wrażliwe, by opatrzyć ranę ofierze wypadku; „czuły” syn błaga lekarza, by przetrzymał matkę w szpitalu, bo „nie może patrzeć na jej cierpienia”; sobek, chcąc zmniejszyć swoją przykrość wynikającą ze współdoznania, wzbudza w sobie niechęć do cierpiącego.

Uwaga o wrodzonej wrażliwości na cudze cierpienia kieruje myśl ku genom.



Nie będzie świętych z próbówki. Istnieje prosta potrzeba dzielenia się i prosty odruch udzielania pomocy. Gdy upiekliliśmy z żoną szarlotkę, zastanawiamy się, kogo zaprosić — pałaszowana w powiększonym gronie będzie lepiej smakować. (Najdzikszy z dzikich Hotentot nie może jeść sam i nawet bardzo głodny szuka towarzystwa, choćby obcego, by dzielić z nim swój posiłek). Wiele osób odczuwa niemile skrzepowanie, gdy ma coś, czego innym brakuje...

Decyzje typu dać-pomóc mają raczej charakter uczuciowy niż rozumowy, toteż są podejmowane na ogół spontanicznie, bez skrupulatnego zbierania informacji, bez wyważania racji, i to nawet wtedy, gdy pociągają duże ofiary. Na podstawie wywiadów z dawcami nerek stwierdzono, że decydowali się oni na operację natychmiast po usłyszeniu o możliwości transplantacji. Zresztą w wielu przypadkach nie ma czasu na zastanawianie się. Jeśli pozwolimy sobie na deliberacje („zatrulo się to dziecko czy nie zatrulo”), jeśli zaczniemy rozważać wszystkie za i przeciw (zawiezienia go do szpitala), to może być za późno.

Charakterystyczne, że refleksja nieraz paraliżuje spontaniczny odruch. M. Twain zartował: „Najlepszym sposobem oszczędzenia połowy pieniędzy, które masz ochotę dać na jakąś sprawę, jest liczyć do czterdziestu. By zaoszczędzić trzy czwarte — liczyć do sześćdziesięciu. By zaoszczędzić całą sumę — do sześćdziesięciu pięciu”. (Źle napisałem: „(...) nawet wtedy gdy pociągają za sobą duże ofiary”). To niemal reguła, że im większa sprawa, tym mniej rozumowania w decydowaniu o niej. Myśląc o czynach bohaterów i świętych nie zadajemy pytania, czy były wyrozumowane i rozsądne, a i oni przed swoją ofiarą na pewno nie liczyli do sześćdziesięciu pięciu).

Odruchowość i spontaniczność wielu darów nasuwa myśl o ich pochodzeniu z najpierwotniejszych pokładów ludzkiej natury, słowem — z instynktu. Potwierdzają tę hipotezę zaobserwowane u zwierząt nie tylko ofiarna troska o potomstwo i nie tylko ścisłe współdziałanie dla dobra stada, ale także świadczenia między zaprzyjaźnionymi jednostkami. Wystarczy przypomnieć delfina, który podtrzymuje na powierzchni ранego towarzysza, i szympansa, który dzieli się żywnością z szympansem z sąsiedniej klatki. Tak między zwierzętami, jak i między ludźmi walki wybuchają co chwila, ale nierzadkie są także wspaniałe akty pomocy.

Więc może wartości moralne zakodowane są w genach? Słyszysz się takie zdanie, osobiście jednak sądzę, że w genach zakodowane są (choć może w różnych proporcjach) zarówno antyspołeczne, jak i społeczne potencjały, które rozwijają się lub nie pod wpływem otoczenia. Tak czy owak, nie sądzę, by nawet za pięćset lat inżynieria genetyczna produkowała świętych w próbówkach.

A w jaki sposób kształtuje nas wychowanie?



Zaraz po wyjściu z pieluch. Do niedawna przyjmowano jako pewnik, że do piątego czy szóstego roku życia dzieci są zbyt ego-centriczne, by reagować na cudze cierpienie. Obecnie stwierdzono, że już bardzo małe dzieci posiadają zdolność do przejmowania się cudzym bólem i wykazują jakby chęć niesienia ulgi. Osiemnastomiesięczna dziewczynka widząc płaczące sześciomiesięczne dziecko, najpierw podaje mu coś, co płaczące rzuciło na ziemię, później głaszcze je, stara się coś powiedzieć, a gdy to nie pomaga, sama pochlipując sprowadza mamę i kładzie jej rękę na jego główce. Dwudziestomiesięczny chłopiec zachowuje się tak, jakby pocieszał płaczącą matkę, obejmuje ją, powtarza „kocha, kocha”.

Stwierdzono dalej, że już między czteroletnimi dziećmi zachodzą duże różnice w gotowości do empatii i prób pomocy (jedne zatykają uszy lub uciekają słysząc płacz, inne usiłują coś zrobić), z czego wysnuto wniosek, że jak w kształceniu szeregu innych właściwości psychicznych, tak i tu decydują pierwsze lata życia, że więc od chwili wyjścia z pieluch rozwija się lub zanika wrodzona gotowość do empatii i do działania dla dobra innych. Wysunięto nawet przypuszczenie (P. MacLean), że jeśli ta bardzo wczesnie pojawiająca się gotowość do empatii nie jest właściwie pobudzana, to nigdy się w pełni nie rozwinie.

Powstaje pytanie, co w najpierwszych latach życia pobudza, a co tłumi rozwój omawianych właściwości. Otóż stwierdzono, że pozytywny wpływ mają silne reakcje rodziców na ból zadawany przez dziecko, reakcje emocjonalne z towarzyszącym im tłumaczeniem („Przestań! Nie bij siostrzyczki. Przecież to ją boli”); podobny wpływ wywiera również opiekuńcze zachowanie matki w stosunku do cierpień tak własnego dziecka, jak i innych osób.

Czułość i opiekuńczość otoczenia daje dziecku poczucie bezpieczeństwa, w którym najlepiej kiełkuje delikatna roślina współdoznawania. Wiadomo też, że dziecko naśladuje między innymi uczucia, więc matka, która przejmuje się losem choćby chorego psa, uczy dziecko także się nim przejmować. Tak samo najbliższe otoczenie kształci umiejętność dostrzegania cudzych potrzeb, mówiąc o nich albo pytając: „Jak czuje się chłopczyk, który chciał się z tobą bawić, a ty wyrwałś mu piłkę? Kształci umiejętność dostrzegania tych potrzeb i znajdowania zadowolenia w ich zaspokajaniu. Widziałem sześciolletnią dziewczynkę podskakującą z radości na widok promiennego uśmiechu babci, gdy ta wracając z urlopu weszła do swego odświeżonego pokoju, w którego „pucowaniu” miała uczestniczyć. Natomiast gasi gotowość do empatii i altruistycznych zachowań brak pozytywnych reakcji rodziców wobec cudzych cierpień. Uciekanie z dziećmi od nieprzyjemnych widoków uczy je właśnie takiego bronienia się przed przykrością. Obojętność przyswaja sobie dziecko wtedy, gdy rodzina rozmawia o swoich sprawach, nawet żartuje przy otwartym telewizorze, na którego ekranie pojawiają się raz po raz sceny gwałtu, bicia, zabijania. Jeszcze gorzej, gdy matka nie zatrzymuje się przy płaczącym cudzym dziecku. Zwrócono też uwagę na brak w książkach dla dzieci opisów reakcji na cudze cierpienia¹.

Wreszcie — przestroga przed następstwami osłabienia zwartości życia rodzinnego: dziecko, które nie ma bliskiego kontaktu z matką, rzadko razem z nią cieszy się i martwi, może wyrosnąć na człowieka ze słabo rozwiniętą zdolnością do empatii. Proces wychowania polega nie tylko na opiece i nauce, ale także na byciu razem...

...i na przekazywaniu nastawień. W tym kontekście mam na myśli nastawienie na dostrzeganie podobieństw i tego, co łączy, co powinno się podobać i zbliżać; zauważmy jednak, że jakby bardziej naturalne jest dostrzeganie tego, co różni. Dlatego to pierwsze wymaga świadomego pobudzania. „Wziął moją piłkę i sam się nią bawił!” „Tak, ale teraz ci ją oddał i, popatrz, tuli się do swojej mamy, jak ty do mnie się tulisz”.

Czym skorupka... Na kształtowanie charakteru mniej lub bardziej altruistycznego mają wpływ rodzice, inni dorośli, zwłaszcza z bliskiego otoczenia, rodzeństwo, rówieśnicy, treści kulturowe płynące z telewizji, radia, kina, teatru i lektur. Wpływ ten realizuje się przez wzory, uczestnictwo, rozmowy, kary i nagrody. (Kto nie ma do czynienia z dziećmi, ten może nie czytać następujących siedmiu stron).

¹ Te uwagi o empatii i altruizmie najmłodszych podałem za M. Pines (*Good Samaritans at Age of Two*. „Psychology Today” VI 1979), ta autorka zaś oparła się na badaniach M. L. Hoffmana, P. Massena, N. Eisenberg-Berga, E. Stauba, M. R. Yarrowsa i C. Zahn-Waxlera.

Są wyjątki, dzieci, które się z domu wyrodziły, więc wyrodne, gniazda swojego niegodne, ale na ogół — jakie drzewo, takie owoce, jaki dom, takie dzieci. Psycholodzy zgodni są co do tego, że altruści i bezinteresowni działacze najczęściej wywodzą się z domów, w których stosunki między rodzicami a dziećmi były bliskie i serdeczne, oparte na miłości, wzajemnym zaufaniu i szacunku, a więc z domów, w których nie tylko materialne, ale i psychiczne potrzeby dziecka były właściwie zaspokajane. Rodzice chłodni i brutalni wzbudzają przeświadczenie: „ludzie są źli, choć bywają wyjątki”, natomiast rodzice serdeczni i delikatni wzbudzają przekonanie: „ludzie są dobrzy, choć bywają wyjątki”. Przekonanie, jacy są ludzie, wpływa na stosunek do nich...

Wiadomo, że w rodzinach nastawionych na dawanie i pomaganie rosną podobnie nastawione dzieci (choć są wyjątki), w obojętnych — obojętne, w pazernych — pazerne. Dziecko przyswaja sobie sposób bycia, normy i styl bliskiego otoczenia, naśladuje początkowo wiernie i bezkrytycznie, później z refleksją, z zastrzeżeniami, ale mimo wątpliwości i krytyki na ogół przyswaja sobie obserwowany u rodziców stosunek do ludzi, do obowiązków, do pracy. Stwierdzono¹ na przykład, że ludzie, którzy w czasie okupacji ratowali Żydów, w dzieciństwie codziennie stykali się przynajmniej z jednym wzorem pełnej poświęcenia troski o innych.

Z tego, że dziecko upodabnia swoje postępowanie do postępowania osób, które kocha i podziwia, wynika rola nie zamierzonego, a nawet nieświadomego oddziaływania. Najbliżsi wychowują dziecko nie tyle przemyślnymi pedagogicznymi zabiegami, ile tym, że są tacy, jacy są.

Siła oddziaływania wzoru osób znaczących dla dziecka jest tym większa, że w przeciwieństwie do kazań i kar wzór nie wywołuje odruchów buntu. Walka o swobodę, rzecz można o tożsamość, nieraz wyraża się działaniem odwrotnym od wymaganego; krytyka odczuwana jest jako atak na to, co moje, perswazja — jako próba ograniczenia swobody. Stąd sprzeciw wobec wszystkiego, co narzucane, a najbardziej wobec wszystkiego, co załatuje musztrą. Wzór nie zmusza, po prostu jest.

A wzory postaci fikcyjnych z kina, teatru, z powieści? Ich znaczenie, choć realne, jest mniejsze od znaczenia wzoru najbliższych, a to choćby dlatego, że uwielbiany aktor gra różne role, a bohater powieści jest bądź co bądź człowiekiem z papieru, inaczej go widzimy niż tego z krwi i kości, inaczej kochamy. Ponadto wzór żywy i bliski ma tę przewagę nad fikcyjnym lub dalekim, że stale go obserwując uczymy się nie tylko ogólnie tego, co robić, ale i jak.

Mówiąc o tym, jakimi sposobami najbliższe otoczenie kształtuje charakter dziecka, wypada jeszcze przypomnieć o roli współdziałania, kary, nagrody i słowa.

Dziecko naśladuje przede wszystkim wtedy, gdy próbuje współdziałać. Jeśli przy tych próbach nie sparzy się — a parzą je najczęściej niecierpliwe fuknięcia dorosłych — próby te rozwijają się w dorosłą gotowość do pomagania. Silnik zgasł na skrzyżowaniu — kto z przechodniów pomoże popchnąć samochód? Myślę, że najpewniej ten, kto kiedyś razem z ojcem pomagał obcemu kierowcy... Wzór i wdrożenie do współdziałania-pomagania silniej wpływają na postępowanie niż nawet szczerze akceptowane i wyznawane abstrakcyjne idee.

Ponieważ dziecko — zresztą nie tylko ono — uczy się raczej tego, co robi, niż tego, co słyszy, rodzice i pedagodzy więcej osiągają organizując współdziałanie (zwłaszcza współdziałanie w akcjach na rzecz innych osób) niż pouczając, że ładnie jest dawać i pomagać. Dlatego trzeba, by dziecko współdziałało w pracach domowych, by oprócz przywilejów miało obowiązki. Przyczucie do odpowiedzialności, do sprawowania opieki nad potrzebującym jest co najmniej równie ważne, jak pilnowanie odrabiania lekcji. Właściwiej rozwija się charakter dziecka, które musi czasem, doglądać i pilnować młodszego rodzeństwa, niż jedynaka, który nawet psa nie musi wyprowadzać. Pod tym względem lepsze warunki rozwoju dojrzałego charakteru ma dziecko wiejskie, od maleńkości wciągnięte do pracy w gospodarstwie. Mechaniczne teorie wychowania tłumaczą pochodzenie gotowości do dawania uwarunkowaniem.

¹ P. London *The Rescuers* w J. R. Maculay (red.) *Altruism...*

Rzeczywiście, jeśli dziecko jest zazwyczaj karane za zachowanie typu egoistycznego, a nagradzane za zachowanie typu altruistycznego, to bardzo być może, iż nawet gdy dorośnie, będzie się czuć niespokojnie i nieswojo realizując własne interesy kosztem czyjejs krzywdy. Jednakże skuteczność kar jako metody kształcenia altruizmu jest dość względna: małe nie chciał bawić się z dziewczynką, a ona mu się „narzucała”, wreszcie cisnął jej w oczy garścią piachu. Ryk małej i gniewne słowa obu matek: „Jeśli zaraz nie przeprosisz dziewczynki i nie pobawisz się z nią, dostaniesz lanie”. Małe opierał się, wobec czego gniew matki wzrastał... Nie zdziwiłbym się, gdyby po takiej awanturze chłopiec nie chciał bawić się z dziewczynkami (przez pewien czas).

Kary — zwłaszcza surowe, zwłaszcza fizyczne — wywołać mogą niepożądane następstwa, takie jak urazy, cichy, ale zawzięty bunt, nawet wrogość, chęć odegrania się, robienia na złość, skrytość, pozorowanie: byle się nie wydało, wystarczy, by się zdawało... To wszystko, razem z lękiem, utrudnia rozwój zdolności do empatii i choć działa odstrasżająco na krótką metę, to nie owocuje w dalszej przyszłości. Szansę rzeczywiście wychowawczego oddziaływania mają tylko kary rzadkie, niezbyt surowe i pochodzące od osób szanowanych i kochanych. Dla wrażliwego dziecka celową karą, będącą wspomoczeniem innego oddziaływania, jest kara tak delikatna jak odmowa pocałowania na dobranoc.

Nagrody za pożądane zachowania są bezpieczniejszym i skuteczniejszym zabiegiem wychowawczym niż kary, toteż pedagodzy zalecają raczej pieszczotę niż lanie. Dziecko z własnej inicjatywy dało płaczącej dziewczynce swój samochodzik — matka ucieszyła się, pocałowała je, sama włączyła się do zabawy... Pamiętajmy, że nagrodą jest również sama pochwała. To mało? Niewiele, ale nagrody, które mają kształcić altruizm, nie powinny być duże i nie muszą być materialne. Raczej te niewielkie przyczynią się do postawy: „Tak postępuję, bo takie postępowanie uważam za słusne”; przyzwyczajony do dużych nagród nie będzie dawać bez perspektywy zysku.

Pochwały — więc słowa? Tak, słowa nie zawsze są grochem o ścianę, mają one znaczenie, zwłaszcza gdy padają nie w monologach i nie w kazaniach, a w przyjacielskich rozmowach. To między innymi dzięki rozmowom młody człowiek uczy się wnikać w cudze stany psychiczne, wyrabia sobie zdanie o ludziach i postawę wobec ludzi; w trakcie rozmów kształci swoją zdolność do osądów moralnych własnego i cudzego postępowania, nawet wyrabia sobie kryteria wartościowania. Ma się rozumieć, istotnym warunkiem oddziaływania słowa jest jego spójność ze wzorem. Słowa, ale nie każde i nie zawsze. Ulubionym zabiegiem wychowawczym są monologi, strofowanie, przemawianie do rozsądku i sumienia: pouczany czy łajany obiekt tych zabiegów ucieka oczami pod stół, potakuje, pozwala słowom płynąć i... spływać. Niekiedy inaczej — zmuszony do wysłuchiwania morałów myśli w duchu: „Właśnie, że będę zły, zły, zły”. Nauczyciel, który na godzinie wychowawczej chce zachęcić dzieci do wzajemnego pomagania sobie, zrobi lepiej, jeśli zamiast pouczać zaproponuje uczniom wyliczenie wszystkich racji przemawiających za i przeciw takiemu postępowaniu; w ten sposób nie wywiera presji, nie „truje”, a argumenty, które ten i ów uczeń wymyśli czy przypomni sobie, będą miały większą szansę oddziaływania niż te, których tylko niecierpliwie wysłuchał.

Jeszcze gorsze od pedagogicznych morałów są serie oskarżeń: „Martwisz ojca i matkę”, „Nie widzisz nic poza sobą”, „Jesteś egoistą”. Takie łajanie pomniejsza poczucie własnej wartości, a zwiększa ześrodkowanie na sobie. Od powtarzania: „Jesteś niedobry”, „Nic z ciebie nie będzie” skuteczniej wpływa sugestia odwrotna: „Wierzę w ciebie”, „W gruncie rzeczy chcesz dobrze”, „Jesteś naszą pociechą”. Echo takich słów brzmi długo.

W każdym wieku człowiek głodny jest pochwał i uznania, pragnie być podobny do tego dobrego wyobrażenia, jakie mają o nim ci, którzy go kochają i których on kocha. Później, gdy rodziców zabraknie, będzie podobnie postępować, trochę z... przyzwyczajenia, a trochę oddając w ten sposób hołd ich pamięci. Miejsce myśli: „To ich ucieszy” zajmuje myśl: „To by ich ucieszyło”. Sugestia: „Jesteś dobry” może działać także dlatego, że przyjąwszy ją, młody człowiek chce upodobnić siebie do zasugerowanego mu obrazu własnego. Potwierdzające ten obraz postępowanie staje się źródłem satysfakcji. Zaszczepienie zasad, których trzymanie się daje zadowolenie, jest najambitniejszym celem wychowania.

Dodam, że w moim przekonaniu na poglądy i charakter młodych ludzi mniej wpływa to, co się do nich mówi, a więcej to, co się obok nich mówi. Dzięki zasłyszonym zdaniom, dzięki stale wpadającym w ucho opiniom i wypowiedziom w konkretnych sprawach, orientują się w rzeczywistości dominujących kryteriach wartości. Cóż z tego, że w czasie pedagogicznej lekcji młody człowiek usłyszy: „O wartości człowieka decyduje to, co daje z siebie”, „Od tego, co mamy, ważniejsze jest, jaki użytek z tego robimy”, „Dawanie i pomaganie jest miarą

dorosłości”, skoro z toczonych wokół rozmów odgaduje, że przedmiotem najusilniej-szych zabiegów i ambicji jest pieniądz, komfort, rozrywka i władza. Wpływy nie zamierzone są silniejsze od zamierzonych. Przypadkiem dosłyszane słowa: „Lubiana, bo uczynna” zapadną w pamięć głębiej niż kazanie: „Powinieneś myśleć nie tylko o sobie”.

W kształceniu szlachetnych cech charakteru zaleca się unikanie bezpośredniej presji i, gdy to możliwe, arbitralnego narzucania żądań. Psycholodzy zaobserwowali, a nawet wyeksperymentowali, że gdy nacisk „dawaj” rośnie, rodzi się bunt przeciw przymusowi (choćby tylko moralnemu). Chętniej i hojniej dajemy z własnej inicjatywy niż z cudzego polecenia. Narzucane obowiązki nieraz budzą niechęć. Nawet gdy przyjmowane są bez sprzeciwu, to wywiązywanie się z nich nie poprawia poczucia własnej wartości w tym stopniu, w jakim poprawiają je działania przedsięwzięte z własnej ochoty. Tak więc nie jest osiągnięciem pedagogicznym zmuszanie nastolatka, by wyczyścił babci zabłocone buty, ale jest nim zręczne naprowadzenie go, by wykazał taką czy podobną inicjatywę.

Im dojrzalszy jest człowiek, tym większą rolę w procesie jego wychowania gra samowychowanie poprzez to, co robi i co „wchodzi mu w krew”.



Brama dobroczynności trudno się zamyka. „Jeden dobry uczynek tworzy drugi, tak samo jak grzech jeden sprowadza drugi”¹. Istotnie dawanie może stać się przyzwyczajeniem nabytym — w dzieciństwie, w czasach młodości albo i później: „Najpierw pomagałem kolegom z wyrachowania — opowiadał młody człowiek. — Liczyłem na to, że kierownik bursy dowie się o mojej szlachetności i że niejeden z kolegów będzie miał okazję hojnie mi się odwdzięczyć w przyszłości. Wyrobiłem sobie opinię najbardziej koleżeńskiego chłopca byłem z niej dumny. Tak dumny, że chciałem stale ją potwierdzać. Na koniec przestałem myśleć o interesie i opinii, a pozostałem koleżeński”.

Bywa tak, że zaczynamy uczyć się wyłącznie dla praktycznych celów, lecz po, pewnym czasie rodzi się w nas bezinteresowna ciekawość badacza, pasja prawdziwego naukowca; tak samo z dawaniem: bywa tak, że pierwszy, drugi, trzeci raz dajemy dla efektu, bo taka jest norma, bo w takim znaleźliśmy się towarzystwie albo w sytuacji, w której „trudno inaczej”, po czym dawanie wciąga, wchodzi w krew, staje się jakby odruchem, nad którego genezę i sens nie zastanawiamy się. Ładnie to wyraża chińskie przysłowie: „Brama dobroczynności trudno się otwiera i trudno zamyka”.

M. zgłosiła się do punktu krwiodawstwa na fali wzruszenia, które nas ogarnęło w 1956 r. na wieść o wydarzeniach w Budapeszcie, i... pozostała honorowym krwiodawcą przez kilkanaście lat. „Podczas wojny — cytuję za R. M. Titmussem² — obawiałem się, że nie będę zmobilizowany ze względu na mój wiek, wtedy zacząłem oddawać krew, by tak podreperować moją zadraśniętą dumę. Dostałem wreszcie wezwanie do wojska, to przywróciło mi dumę, ale dalej oddawałem krew, bo... po prostu kontynuowałem to, co zacząłem”. K. włączył się do charytatywnej działalności parafii pod wpływem swojej ówczesnej sympatii, ale sympatia rzuciła tę pracę i jego rzuciła, a on pozostał. W roku 1939 sekretarka drobnego niemieckiego przemysłowca poprosiła go, by udzielił schronienia jej mężowi Żydowi, któremu groziło internowanie, obóz i śmierć. Niemiec zgodził się i... ocalał w sumie około dwustu Żydów. Dość typowe w owych czasach niemal w całej Europie było przyjęcie uciekiniera na kilka dni i przechowywanie go kilka lat.

¹ *Talmud, Abot*, rozdz. 4, 2 według D. Rundo.

² R. M. Titmuss *The Gift Relationship...*, s. 89.

Samoutrwalanie się nastawienia na dawanie łatwo objaśnić procesami emocjonalnymi:

- a) dający zbliża się do potrzebującego, którego widok i znajomość wzmacnia empatię i motywację;
- b) w dającym rodzi się lub wzrasta sympatia do obdarowanego. Kiedy z własnej inicjatywy świadczymy na rzecz osób obojętnych albo nawet takich, których nie lubimy, zaczynamy odnosić się do nich z sympatią (może dlatego, że ich widok wzmacnia dobrą samoocenę?);
- c) po ruszeniu z martwego punktu; po pokonaniu siły bezwładu, dalsze dawanie jest łatwiejsze (także odwagę ułatwia to, że się już raz podobnie postąpiło);
- d) człowiek wczuwa się w rolę (porównaj s.19), przywiązuje się do rozpoczętego działania, chce je skończyć, nawet rozwinąć;
- e) znajduje w nim źródło samozadowolenia, zwłaszcza gdy towarzyszą mu miłe przeżycia, związane choćby z zaspokajaniem takich potrzeb, jak potrzeba uznania, budzenia sympatii, przekonania o własnej szlachetności i własnych możliwościach. Czynność zaspokajająca potrzeby sama staje się potrzebą;
- f) podjąwszy akcję lub włączywszy się do niej — człowiek czuje się związany z innymi zaangażowanymi w niej, nie chce zawieść ich zaufania;
- g) ulega naciskowi oczekujących, którzy przyzwyczaili się, że można na niego liczyć;
- h) wreszcie niemal regułą jest dorabianie racji do czegoś, co już się zrobiło. Przedsięwziętą lub dokonaną akcję uzasadniamy, uzasadnienie to pogłębiaimy (nieraz dzięki przeciwnej krytyce), tak że motywacja do podobnych działań staje się coraz silniejsza. W sumie: jest sporo prawdy w powiedzeniu, że im więcej dajemy, tym więcej chcemy dawać.

Poza motywującymi działaniem impulsami emocjonalnymi i prawie automatycznymi odruchami istnieją też bogato rozbudowane racje filozoficzne i religijne. Poza swoim — chyba niezbyt, dużym — bezpośrednim wpływem na postępowanie wywierają one wpływ pośredni: uszlachetniają interesowność, stanowią teoretyczny fundament norm, a nawet kształcenia uczuć.

RACJE FILOZOFICZNE I RELIGIJNE



Człowieczeństwo — godność, którą trzeba zdobyć. Według T. Hobbesa (1588— 1679) człowiek człowiekowi — wilkiem, a według F. Bacona (1561—1626) skłonność do dobroci jest tak głęboko zakorzeniona w naturze człowieka, że jeśli nie wyraża się w stosunku do ludzi, to wyraża się w stosunku do innych stworzeń. Hobbes sądził, że samolubną drapieżność ograniczają tylko sankcje społeczne, a J. J. Rousseau (1712— 1778) widział w człowieku niemal anioła, którego prawdziwą dobrą naturę wypacza właśnie cywilizacja.

Przyjmując nawet pesymistyczny obraz ludzkiej natury można jeszcze dostrzec światło optymizmu. Moralisci religijni ufają w potęgę wiary i modlitwy, sądzą, że ludzie kiedyś tak przejmą się Bożą miłością, że podniosą się z upadku i wszyscy staną się dobrzy; moralisci świeccy mają nadzieję, iż kiedyś ludzie zrozumieją, że mądrze pojmowany interes własny dyktuje działania podobne do tych, które inspirowałaby bezinteresowność; reformatorzy społeczni uzupełniają to twierdzenie dowodząc, że inteligentna interesowność rzeczywiście skłania do działań ogólnie pożytecznych, choć tylko w sprawiedliwym ustroju, bo tylko w takim ustroju „opłaca się” być uczciwym, pracowitym i dobrym.

Pesymizm bierze górę, gdy sobie uprzytomniamy, że nawet najpiękniejsze religie prawie bez zastrzeżeń przyjmowane (jak w średniowiecznej Europie) nie przekształciły natury ludzkiej w anielską i że sam przewrót społeczny, zniesienie prywatnej własności środków produkcji, nie stworzył warunków moralnego odrodzenia.

Optymizm odradza się na myśl, że zawsze żyły i żyją jednostki, które nawet w warunkach bezwzględnie premiujących wilcze zachowanie (na przykład w obozach koncentracyjnych) odmawiają płacenia każdej ceny za

uratowanie się i konsekwentnie postępują tak, jakby bliźnich kochali albo — mniej religijnie, a bardziej filozoficznie — jakby nawet do największych ofiar mobilizowało ich poczucie solidarności w/ obliczu tragedii życia. Jednostki te żyją według kategorycznego imperatywu: „postępuj tak, jakbyś chciał, by względem ciebie postępowano” albo: „jakbyś chciał, by wszyscy postępowali”. Ich życie jest świadectwem tego, że „(...) człowieczeństwo nie jest stanem, w którym przychodzimy na świat. To godność, którą trzeba zdobyć” (Vercors).

Co prawda gotowość do wzajemnej pomocy zaobserwowano u wielu gatunków zwierząt...



Pomoc wzajemna. Przecistawiając się poglądom T. Hobbesa: człowiek człowiekowi wilkiem, i koncepcji K. Darwina: nieustanna walka nawet w obrębie jednego gatunku jest głównym motorem ewolucji, P. Kropotkin (1842—1921) głosił, iż najważniejszym czynnikiem przeżycia i rozwoju (gatunkowego i jednostkowego, umysłowego i moralnego) jest pomoc wzajemna. Im większa jest gotowość do niej w danej grupie, a nawet w danym gatunku, tym większe i bardziej uzasadnione poczucie bezpieczeństwa. Społeczności, w których dawanie i świadczenie pomocy jest powszechne i ofiarne, mają więcej szans w walce o byt niż społeczności, w których każdy dba tylko o siebie. Zwierzęta przyzwyczajone do wzajemnego pomagania sobie posiadają więcej danych do przeżycia i osiągają najwyższy rozwój inteligencji i organizacji cielesnej. „(...) pomoc wzajemna jest tak samo prawem przyrody jak walka wzajemna, lecz jako czynnik rozwoju ma znaczenie dużo większe, ponieważ sprzyja rozwojowi takich nawyków i takich cech charakteru, które zapewniają jednostce utrzymanie się i rozkwit życia przy możliwie najmniejszej stracie energii”¹. Można mieć zastrzeżenia co do niektórych zapewnień Kropotkina — prowokowany skrajnością Darwina zajął stanowisko skrajnie przeciwne — lecz niewątpliwą jego zasługą było po pierwsze, podkreślenie znaczenia pomocy wzajemnej jako istotnego czynnika przeżycia i rozwoju, i po drugie, wzmocnienie podwalin tej etyki, która chcąc obyć się bez uzasadnień nadprzyrodzonych, wskazuje na pochodzenie swoich zakazów i nakazów między innymi z instynktu społecznego.

Sądzę, iż powyższe argumenty powinny się często pojawiać w próbach perswazji etycznej. Warto przypominać, iż człowiek zawdzięcza swoje królowanie w przyrodzie współdziałaniu, a nie walce każdego z każdym; że społeczność, której członkowie chętnie wzajemnie sobie świadczą, zapewnia wszystkim większe bezpieczeństwo i lepsze samopoczucie od tej, w której człowiek człowiekowi jest wilkiem; że więc atmosfera ogólnej życzliwości i gotowość do wzajemnych świadczeń leży w interesie ogółu. Jasne, że gdyby każdy każdemu pomagał, każdy by otrzymywał pomoc od wszystkich. Można w tym „gdyby” dosłyszeć żartobliwy ton, ale na pewno z powagą i naciskiem pisał M. Wiszniewski (1794—1865), że „(...) człowiek nie jest stworzony, aby żył sam, ale żeby był usłużny drugim”².

W tym kontekście trzeba przypomnieć o marksistowskim rozumieniu pobudek etycznego postępowania. Według tej filozofii moralność wyrasta na społeczno-ekonomicznym podłożu i przesycona jest klasową treścią. Najistotniejszym spoidłem, a zarazem kryterium etycznym jest aktywne zaangażowanie w budowie socjalistycznego społeczeństwa. W *Meyers Neues Lexikon* pod hasłem „Altruismus” znajdujemy twierdzenie, iż „(...) tradycyjne przeciwieństwo egoizmu i altruizmu zostało w socjalizmie przewyciężone praktycznie i teoretycznie”.

W każdym razie da się dowieść, że branie i dawanie to nie są pojęcia przeciwstawne.

¹ P. Kropotkin *Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju*. Łódź—Warszawa 1946, s. 29.

² M. Wiszniewski *Charaktery rozumów ludzkich*. Warszawa 1935.

Dawać znaczy brać. Wiadomo, że na czele argumentów świeckiej perswazji etycznej stoi twierdzenie, iż postępując zgodnie z interesami innych, tym samym realizujemy interes własny. Dalej poszedł psycholog niemiecki W. M. Wundt (1850—1920) wywodząc nakazy etyczne z założenia, że wola indywidualna może być częścią woli ogólnej. Według tego psychologa ponoszenie ofiar dla czyjegoś dobra tłumaczy się jednością własnej jaźni z cudzą jaźnią, tak więc to, co, robimy dla kogoś, robimy w gruncie rzeczy także dla siebie. W tym punkcie ta z lekka metafizyczna filozofia Wundta zgodna jest z tym, co głoszą niektórzy mistycy — „ja i ty to jedno” — ale i w bardzo współczesnej, trzeźwo naukowej i ostrożnej koncepcji J. Reykowskiego¹ znaleźć można dość podobny wątek, kiedy pisze o rozszerzaniu się „struktury ja”. Reykowski sądzi, iż kategoria „własne dobro” może być rozciągnięta, może obejmować nie tylko własny fizyczny organizm, ale także inne osoby, i to w tym większym stopniu, im są one fizycznie bliższe, bardziej podobne (pod różnymi względami); mówiąc ogólniej, w stopniu zależnym od psychicznego dystansu. Dzięki takiemu rozszerzeniu „struktury ja” korzyść cudza może być traktowana jak własna, a działanie na rzecz cudzego dobra może być jednoznaczne z działaniem dla dobra własnego.

Do podobnego wniosku, choć inną drogą, doszedł E. Fromm. Krytykuje on postawę osób, które dawanie traktują jako czynienie ofiary. Dla nich zasada, że lepiej jest dawać niż brać, oznacza, że lepiej cierpieć z powodu utraty niż doznawać radości posiadania. Tymczasem według Fromma człowiek dający nie biednieje, ale wzbogaca się:

„Wykładowca uczy się od swoich uczniów, aktora pobudza do gry widownia, psychoanalityka leczy jego pacjent — z zastrzeżeniem, że nie traktują oni siebie nawzajem jako przedmioty, lecz mają do siebie stosunek szczerzy i produktywny”. Dlatego: „Nie jest bogaty ten, kto dużo ma, lecz ten, kto dużo daje. Ten, kto jedynie gromadzi, kto zamartwia się z powodu jakiejś straty, jest w sferze psychologicznej biednym (...)”².

Poglądowi „jestem tym, co mam” Fromm przeciwstawia inny: „jestem tym, co daję”. Innymi słowy, o mojej wartości decyduje to, w jakim stopniu zaspokajam potrzeby bliźszego i dalszego otoczenia. Jestem tyle wart, ile warta jest ulga, którą potrafię nieść, i radość, którą potrafię sprawić.

Cnota największa. Chiński mistyk Lao-Tse (VI w. pne.) nie żądał miłości bliźniego, ale sądził, iż mądrość wyraża się między innymi daniem:

*Mędrzec nie gromadzi
Żyje dla innych
i tym się bogaci*³.

Podobnie powiedziano w *Talmudzie*:

„Kto bogatszy w mądrości niż w dobre uczynki, porównywanym być powinien do drzewa, które ma wiele gałęzi, a mało korzeni, powstający wicher wyrывa je i obala. Kto, przeciwnie, bogatszy jest w dobre uczynki niż mądrość, tego porównać wypada do drzewa mającego mało gałęzi, a wiele korzeni, bo choć wszystkie wiatry zahuczą, nie wzruszą go z miejsca”⁴.

Toteż:

„Cnota dobroczynności przewyższa wszystkie inne cnoty (...)”⁵.

Ma się rozumieć, że wiele podobnych stwierdzeń znajduje się w pismach Ojców Kościoła; oto dwa typowe:

„Gdyż sprawiedliwość męża okazuje się i w słowach, i w uczynkach. Bo jeśli by biegły rozprawiał, w działaniu zaś okazał się gnuśny, czyny zadadzą kłam jego roztropności, a większa jest odpowiedzialność kogoś, kto wie, co ma czynić, lecz nie uczynił tak, jak uznał za konieczne”⁶.

„Możesz uprawiać najsurowsze cnoty, jeśli jednak nie troszczysz się o innych, którzy znajdują się w niebezpieczeństwie, nie ostoisz przed boskim obliczem”⁷.

¹ J. Reykowski *Motywacje, postawy społeczne a osobowość...*, s. 63.

² E. Fromm *O sztuce miłości...*, s. 37—39.

³ Księga Lao LXXXI za Lin Yutang *The Wisdom of China*, s. 65.

⁴ Talmud, Abot, rozdz. 3 według D. Rundo.

⁵ Tamże.

⁶ Św. Ambroży z Mediolanu *Obowiązki duchownych...*, s. 115.

⁷ Św. Jan Złotousty Chryzostom *Homilie na list do Koryntian 25,4 za Texte der Kirchen Väter*, t. III, s. 313 (tł. S. G.).

Dla buddysty, izraelity, chrześcijanina i muzułmanina dzielenie się tym, co posiada, jest nie tylko największą cnotą, ale i religijnym obowiązkiem:

„Ułam łaknącemu chleba twego, a ubogie i tułające się wprowadź do domu twego; gdy ujrzysz nagiego, przyodziej go (...)”¹.

„Przez wszystkie dni twego życia spełniaj uczynki miłosierne (...)”².

„(...) przeto ja rozkazuję tobie, abyś otwierał rękę bratu twemu potrzebującemu i ubogiemu, który z tobą mieszka w ziemi”³.

„Jeśli łaknie nieprzyjaciel twój, nakarm go: jeśli pragnie, daj mu się wody napić”⁴.

„A który cię prosi, daj mu (...)”⁵.

„A Samarytanin niektóry jadąc przeszedł wedle niego (obcego, rannego — S. G.) i ujrzawszy go, miłosierdziem wzruszony jest.

A przybliżywszy się, zawiązał rany jego, nalawszy oliwy i wina, a włożywszy go na bydlę swoje, prowadził do gospody i miał pieczę o nim.

A nazajutrz wziął dwa grosze i dał gospodarzowi, i rzekł: Miej staranie o nim, a cokolwiek nadwyż wydasz, a gdy się wrócę, oddam tobie”⁶. Przykazanie, którego nie bierzemy serio:

„Miłuj bliźniego jak siebie samego”, implikuje dzielenie się z każdym wszystkim i dbanie o każdego jak o siebie (bez tego miłość bliźniego jest pustym frazesem).

„Chrystus — przypomina Jan Paweł II w encyklice *Dives in misericordia* — stawiał ludziom wymagania, aby w życiu swoim kierowali się miłością i miłosierdziem”. W tym duchu T. Paine (1732—1809) mógł powiedzieć:

„Moją ojczyzną — świat, moją religią — czynienie dobra”. I w tym duchu pisali Ojcowie Kościoła. Oto fragment kazania św. Grzegorza:

„Podług zaś wydanego nam przykazania, żebyśmy się cieszyli z uweselonymi, a płakali z płaczącymi: wszystkim ubogim i z jakiego bądź powodu nieszczęśliwym czułość serca okazywać winni jesteśmy i sami będąc ludźmi, udzielać drugim ludziom wsparcia potrzebnego; czyliby go przez owdowiałość wymagali, czyli przez sieroctwo, czyli dla oddalenia się z ojczyzny, czy dla srogości panów lub uciemnienia rządzących, czyli przez poborców nieludzkość, łotrów okrucieństwo albo złodziejów nienastną chciwość; czyli wreszcie przez konfiskatę lub rozbięcie okrętu.

Bo ci wszyscy podobnież warci litości i tak patrzą na ręce nasze, jak my na ręce boskie, gdy nam czego nie dostaje, patrząmy. A z tychże samych ci, którym się nadspodziewanie przytrafia nieszczęście nad przywykłych do cierpienia godniejsi są miłosierdzia”⁷.

Ma się rozumieć, iż piękno moralne daru i cnota, która się w nim przejawia, są tym większe, im większych wyrzeczeń ów dar wymagał, im więcej kosztował czasu, wysiłku lub im na gorsze niebezpieczeństwa narażał. Toteż powiedziano w *Koranie*:

¹ *Stary Testament, Proroctwo Izajaszowe LVIII/7*

² Tamże, *Księga Tobiasza 4*.

³ Tamże, *Deuteronomium XV/11*.

⁴ Tamże, *Księgi przypowieści XXV/21*.

⁵ *Nowy Testament, Ewangelia według św. Mateusza V/42*.

⁶ Tamże, *Ewangelia według św. Łukasza, X/33—35*.

⁷ *Kazanie św. Grzegorza biskupa nazyńskiego. O miłości ku Bogu*. Wilno 1834. Kazanie XVI, IX, s. 13.

„Nie dostąpicie pobożności, dopóki nie będziecie czynili ofiary z rzeczy ulubionych”¹: a współcześnie Matka Teresa z Kalkuty pisze: „Należy dawać to, co jakoś kosztuje, wymaga poświęcenia, pozbawia czegoś, co się lubi, aby dar miał wartość przed Bogiem”².

Jednakże dawaniu w imię cnoty, „bo tak należy”, „bo tak przykazano”, brak czegoś, co wzbogaca treść daru i zjednuje sympatię. Szlachetnie pryncypialnemu, kierującemu się samym surowym poczuciem zasady i obowiązku, brak tej serdeczności, która powiększa wartość, jaką dar przedstawia dla otrzymującego (porównaj s. 53).



Nagrody doczesne i wieczne. Za uprawianie tej najwyższej cnoty — czynienia dobra — religie obiecują nagrody za życia i po śmierci. Cytuję niektóre z tych obietnic.

Ciekawostka: u starożytnych Greków istniało pożyczanie na oddanie po śmierci.

Hindusi wierzą, iż czynienie dobra jest jednym z warunków ponownego przyjścia na świat w okolicznościach pomyślnych dla szybkiego rozwoju duchowego: „Nikt bowiem, kto dobrze czyni, nie pójdzie na zatrąę, ukochany”³. I dalej Wzniosły (tj. Kriszna) zapewnia Ardzunę, że ten, kto dobrze czyni, „(...) narodzi się na nowo w domu szczęśliwych i błogosławionych lub w pokoleniu mądrych joginów”.

Stary Testament:

„Kto daje ubogim, nie zubożeje”⁴.

„Cały dzień czyni miłosierdzie i pożyczca: a nasienie jego w błogosławieństwie będzie”⁵.

„Na lichwę daję Panu, kto ma litość nad ubogim (...)”⁶.

„Błogosławiony, który ma baczenie na potrzebnego (potrzebującego — S. G.): w dzień zły wybawi go Pan”⁷.

Nowy Testament:

„Dawajcie, a będzie wam dane: miarą dobrą i natłoczoną, potrząsioną i opływającą dadzą na łono wasze; bo też miarą, którą mierzycie, będzie wam odmierzone”⁸.

„Ale gdy sprawujesz ucztę, wzwóże (wezwiń — S. G.) ubogich, ułomnych, chorych i ślepych.

A będziesz błogosławionym, zeć nie mogą oddać; albowiem ci będzie oddane w zmartwychwstaniu sprawiedliwych”⁹.

Koran i Talmud wtórują głosom *Pisma Świętego*, obiecując podobne nagrody:

„Ci, którzy wspomagają majątkiem swoim w nocy i dniem, tajemnie i jawnie uzyskują nagrodę u władcy Żywiecia swego. Nie ma dla nich strachu i nie doznają mąk”¹⁰.

„Ci, którzy nakarmiają z miłości do Boga — ubożego, sierotę i jeńca, powiadając: Dajemy wam pokarm, mając na względzie zadowolenie Boga bez żądania od was nagrody albo wdzięczności (...). Zaiste Pan Bóg obroni ich od zgrozy tego dnia oraz obdarzy ich lica światłością, a serca radością”¹¹.

¹ *Koran*, rozdz. 3, 86.

² Matka Teresa z Kalkuty w *Wszystko dla Jezusa* E. L. Joly. Warszawa 1982, s. 123.

³ *Bhaqawad Gita* w tł. S. F. Michalskiego. Warszawa 1937, ks. VI/40.

⁴ *Stary Testament*, *Księga przysłów XXVIII/27*.

⁵ Tamże, *Księga psalmów XXXVI/26*.

⁶ Tamże, *Księga przypowieści XIX/17*.

⁷ Tamże, *Księga psalmów XL/2*.

⁸ *Nowy Testament*, *Ewangelia według Św. Łukasza VI/13*.

⁹ Tamże, *Ewangelia według św. Łukasza XIV /3—4*.

¹⁰ *Koran*, rozdz. 2, 275.

¹¹ *Koran*, rozdz. 76, 8—11.

Jaka jest moralna i pragmatyczna wartość wezwań obiecujących tak wspaniałe nagrody? Ich wartość moralna jest nikła. J. Salij pisze, iż „Wiara oparta na interesie jest karykaturą wiary”¹, tak samo dobroć oparta na interesie — choćby tym interesem była spekulacja na wieczność — jest karykaturą dobroci. Ateiści czy agnostycy, którzy hojnie świadczą na rzecz innych bez żadnej myśli o doczesnej lub wiecznej nagrodzie, stoją na wyższym poziomie etycznym od wierzących, którym ta myśl nie jest obca. Święty niewierzący jest bardziej święty od wierzącego...

Pragmatyczna wartość groźby piekła i obietnicy nieba powinna być ogromna. Ludzie nie wiedzą wszystkiego, ale „Pan Bóg zawsze patrzy”. Jeśli przyjmuje się założenie cytowanych kaznodziei — tj. wiarę w sąd ostateczny — to ich wnioski są doskonale logiczne. Logiczne jest nawet rozumowanie B. Pascala: choćby niewielkie prawdopodobieństwo życia wiecznego ma większe znaczenie i powinno silniej wpływać na postępowanie niż wszystkie pewności życia doczesnego. Przypuszczam, iż w czasach, gdy wiernych drażyło mniej wątpliwości, strach przed piekłem miał dużą siłę powstrzymującą przed złem, a nadzieja na niebo miała pewną siłę zachęcającą do dobra. Dziś — oceniając drzewa po owocach, światopoglądy po moralnym poziomie ich wyznawców, nie przyznam wyższości żadnej z wielkich religii i żadnej świeckiej ideologii. (Tylko buddyzm przewyższa pozostałe systemy pod jednym względem: nikt nie usprawiedliwiał wojen taką czy inną interpretacją nauki Buddy, nikt jego imieniem nie śmiał błogosławić śmiercionośnych narzędzi).

Czy z takiej diagnozy da się wyciągnąć jakiś wniosek praktyczny? Chyba tylko ten, że najbardziej efektywna jest ta etyczna perswazja, która — korzystając z braku istotnej sprzeczności między wskazaniem etyki świeckiej i religijnej — posługuje się obiema. Za korzystaniem z pełnego zestawu opisanych tu motywacji przemawiają dwa ważne względy. Po pierwsze — nie wszystkim trafiają do przekonania te same argumenty, więc działanie całym zestawem zwiększa prawdopodobieństwo, że przynajmniej niektóre ziarna padną na podatny grunt. Po drugie — gdy motywacje sumują się, oddziaływanie ich jest silniejsze i trwalsze. Zważmy choćby na to, że argument czysto rozumowy, sama abstrakcyjna idea, jakiś filozoficzny imperatyw ulegnie pod naporem rozżarzonych ambicji, chciwości lub nienawiści — w takim wewnętrznym konflikcie szansę osiągnięcia przewagi ma dopiero myśl wsparta innym silnym uczuciem; może mieć ono charakter osobisty lub społeczny, świecki lub religijny.

Z miłości do Boga — narzędziem Boga.

Dawanie z myślą o zapewnieniu sobie przyszłego szczęścia nie jest aktem prawdziwie religijnym, a to choćby z tego względu, że religia — tak jak ją pojmuję — dąży do wygaszenia interesowności, a myśl o nagrodzie w niebie jedynie przenosi interesowność na plan innej egzystencji. Może być jednak i tak, że przejęty miłością do Boga — czy, filozoficzną, do Absolutu Dobra — człowiek stara się żyć tak, jak sobie wyobraża, iż Bóg sobie życzy. Kochający spełnia życzenia kochanego nie z lęku i nie z pożądania nagrody, ale z samej miłości, jak powiedziano w *Koranie*: „Wspomagajcie tylko z myślą o zadowoleniu Boga”².

Ta myśl o zadowoleniu Boga przyjmuje między innymi formy ofiary, i to dwojakiemu rodzajowi. Pierwsza wywodzi się z czasów, kiedy doniosłą funkcją darów było zjednanie opieki moźnych i potężnych, opłacanie protekcji, zapewnienie sobie względnego bezpieczeństwa albo wyrażenie lojalności i oddania, przebłaganie zagniewanego możnowładcy, księcia, króla, zmycie winy, wymazanie hańby. Przenosząc schemat stosunków z panem na stosunki z bóstwem, człowiek zaczął składać mu ofiary — hołdowe, błagalne, pokutne — najpierw ze zwierząt rzeźnych, później szlachetniej: z własnych wygód, ambicji i radości, aż pojawiła się myśl służenia Bogu przez służenie człowiekowi — najdobitniejszy wyraz znalazła ona w słowach Jezusa Chrystusa: „(...) pókiście uczynili jednemu z braciej mojej najmniejszych, mnieście uczynili”³.

¹ J. Salij O. P., *Pokusa łapownictwa w życiu religijnym*. „Znak” 1982, nr 5.

² *Koran*, rozdz. 8, 274.

³ *Nowy Testament, Ewangelia według św. Mateusza XXV/40*.

Druga forma tej ofiary ma charakter mistyczny. Poza czynieniem dobra dla nagrody z nieba lub z miłości do Boga istnieje coś, co można nazwać mistyką działania. Jest to całkowite wyrzeczenie się siebie, oddanie się jako narzędzie Woli Bożej (założeniem jest, że dobroć to głos Boga w człowieku). Ryszard, przeor opactwa św. Wiktora w Paryżu, tak opisał „Cztery stopnie gorącej miłości: Na pierwszym — Bóg wstępuje do duszy i ona przegląda się w sobie. Na drugim wznosi się ponad siebie ku Bogu. Na trzecim wzniesiona ku Bogu całkowicie w Niego wchodzi. Na czwartym dusza z Bożego nakazu schodzi w dół”¹. Schodzi na dół, by tu działać w duchu Miłości Bożej, by w imię Pana być sługą ludzi. (Przypomina się bodhisattwa — ideał mahajany: bodhisattwa to człowiek, który osiągnąwszy granicę Nirwany, po przekroczeniu której mógłby się już nigdy nie narodzić, rezygnuje z tego ostatecznego, bezgranicznego szczęścia po to, by wracać na świat i znowu nauczać, znowu wskazywać drogę poty, póki wszyscy nie zostaną wyzwoleni z fatalnego koła rodzenia się na Ziemi).

„Nie czyń drugiemu”..., ale „często popełnia nieprawości ten, kto czegoś nie robi, nie tylko ten, kto coś robi” (Marek Aureliusz)².

„Dzielność etyczna polega raczej na właściwej postawie czynnej i bardziej na dokonywaniu czynów moralnie pięknych aniżeli na wstrzymywaniu się od moralnie szpetnych (...)” (Arystoteles). W etyce wszelkich religii dominują zakazy. Prawda, że w każdej katolickiej mszy mówi się o grzeszeniu przez zaniedbanie, ale czy wiele osób spowiada się z grzechu nieudzielania pomocy lub z grzechu sobkostwa? Chyba niewielu, a przecież powstrzymywanie się od czynienia zła to dopiero pierwszy krok, następnym jest czynić dobro:

„Wszystko tedy, cokolwiek chcecie, aby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie (...)”³.

„Dwojako chybiamy w naszych stosunkach z ludźmi: gdy ich krzywdzimy i gdy im nie pomagamy, choć pomóc możemy”⁴.

„Bezczynność w dziele miłosierdzia zmienia się w czyn śmiertelnego grzechu”⁵.

Z agnostycznego, a zarazem pragmatycznego punktu widzenia najbardziej wartościowe w religiach są właśnie zawarte w nich przykazania świadczenia dobra wzmocnione przez wiarę w ich boskie pochodzenie. Formuła „służysz Bogu służąc człowiekowi” nadaje duchową sakrę pracy dla bliźnich, aktem pomocy i darom.



Człowiek, który zadaje kłam religii. Odwieczna sprzeczność między postulatami idei a faktami życia. Człowiek potrafi nie dostrzegać oczywistych rozbieżności między wyznawanymi zasadami a postępowaniem. Ma gębę pełną idei, a kieszenie pełne zysków, deklaruje miłość, a bluźga nienawiścią. Przyjęły się religijne rytuały — przestrzeganie ich jest stosunkowo łatwe — ale w praktyce nauki etyczne znajdują słaby oddźwięk.

S. Butler (1612—1680) pisał z cełą ironią, że „Ludźmi tak samo wstrząsa informacja, że chrześcijańską religię kwestionuje się, jak widok jej praktykowania”. Słowa te przypominają reakcje przeciw bardzo pobożnego Krakowa na poczynania A. Chmielowskiego (1845—1916). Chmielowski świetnie zapowiadający się malarz, adorowany w salonach, zaczął chodzić po ulicach, po przedmieściach, pomagając nędzarzom; podnosił leżących, odprowadzał do ich legowisk, a nieraz do swego mieszkania. (Zauważmy, iż w owych czasach nie było ani pogotowia ratunkowego, ani domów noclegowych dla biednych). Najpierw z krzywym uśmiechem mówiono „ekscentryk”, „marnuje się”, po czym zaczęto go unikać (tym bardziej że gdy zbierał jałmużnę dla biedaków, nie wypadało — jako bądź co bądź znajomemu — zbyć go byle groszem). Mówiono, iż zwariował, a on tylko żył dosłownie według przykazań Chrystusa.

Można zrozumieć, że maksymalistyczne żądania twórców religii i wzory świętych nie są respektowane, ale jeśli ścisła jest obserwacja, że w ogóle nie ma różnicy między poziomem altruizmu wierzących i niewierzących, to mają powód do niepokoju ci, którzy wiarę poważnie traktują i pragną, by Boga czczono nie samymi wargami.

¹ F. C. Happold w *Mysticism*. Middlesex 1963, s. 104.

² Marek Aureliusz *Rozmyślenia IX/5*.

³ *Nowy Testament, Ewangelia według św. Mateusza V II/12*.

⁴ Św. Augustyn *O obyczajach Kościoła katolickiego 20.27 za Texte der Kirchen Väter...*

⁵ *Trzy drogowskazy. Głos milczenia*. Madras 1960.

Zważmy, iż nie tylko do muzułmanów można zaadresować następujący werset:

„W imię Allaha, Dobroczytnego i Miłosiernego

1. Czy widziałeś człowieka, który zadaje kłam religii?
2. To ten, który odrzucił sierotę
3. i nie zadbał o bliźniego w potrzebie
4. Biada tym, którzy się modlą
5. ale nie postępują według słów modlitwy
6. których się widzi, jak oddają hołd Allahowi
7. ale odmawiają drobnych łaskowości”¹.



Darzą jak one krzaki mirtu... Z tradycji *Koranu* — K. Gibrana² (1883—1931) O *dawaniu*:

„Zaiste mało dajesz, jeśli tylko z dóbr posiadanych udzielasz coś innym.

Darzysz prawdziwie, gdy z siebie samego coś dajesz drugiemu.

Czymże bowiem jest twoja własność, jeśli nie rzeczą, której się dziś trzymasz i chronisz ją, w obawie, że ci kiedyś, jutro, stanie się potrzebna? (...)

Czymże jest lęk przed nędzą, jak nie nędzą samą? (...)

Są ludzie, co dają okruchy posiadanych bogactw, by poklask zyskać i uznanie, a ta żądza ukryta zatruwa ich dary.

Są inni, co mając mało, oddają wszystko;

Ci wierzą w życie i jego szczodrość, a komory ich nie pustoszeją nigdy.

Są ludzie, co dają z radością, a radość ta jest ich nagrodą.

A inni oddają z bólem, a ból ten jest im jako chrzest.

Są tacy, co darzą, a nie znają żalu i nie pragną radości ani dbają o cnotę;

Darzą jak one krzaki mirtu w pobliskiej dolinie, co woń swoją śle w przestrzeń swobodnie.

Przez ręce takich przemawia Sam Bóg, a przez oczy ich uśmiech Swój całej ziemi posyła.

(...)

Dobrze jest dawać w odpowiedzi na prośbę, jeszcze lepiej bez niej, z głębi rozumiejącego serca. (...)

Czy istnieje coś, co byś chciał zatrzymać dla siebie?

Wszak wszystko, co macie, będzie kiedyś oddane;

Czemuż więc nie oddać już dziś, by ona pora darzenia waszą się stała, a nie spadkobierców, którzy przyjdą po was.

Mówicie nieraz «dam chętnie, ale tylko tym, którzy na to zasługują».

Czy mówią tak drzewa w waszym sadzie i stada wśród łąk?”

¹ *Koran*, rozdz. 107 wersety 1—7.

² K. Gibran *Prorok*. Przekład W. Dynowskiej 1954 (miejsca wyd. brak).

POWIEDZIAŁEM W TEJ PIERWSZEJ CZĘŚCI:

- dary i akty pomocy są inspirowane wieloma różnymi pobudkami, które mogą się sumować;
- pobudzają nas do darów takie okoliczności, jak jasność sytuacji i odpowiedzialność, poczucie wspólnoty i pewność własnych możliwości;
- a przeszkadzają — przewidywany koszt, łatwość znalezienia wymówki, tępota uczuć i myśli.
- Dajemy z wyrachowania, w przewidywaniu zysku i dla efektu, bo tak się robi, bo taka norma panuje w naszym otoczeniu; a także — z poczucia obowiązku, zgodnie z umową i ponad nią.
- Istnieje indywidualny instynkt i społeczna racja wzajemnej pomocy, a obok niej: zjednywanie darami sympatii i dawanie z sympatii, zwłaszcza gdy współdoznajemy z czyjąś dolą lub niedolą.
- Nieobca jest myśl, że z naszego postępowania cieszą się lub cieszyliby się nasi ukochani, ci, którzy za podobne nagradzali nas w dzieciństwie i ukształtowali swoimi pochwałami i wzorem; dzięki nim albo dzięki własnym przemyśleniom dawanie jest dla nas sposobem umacniania się w szacunku do samych siebie, zabiegania o godny obraz własny.
- Wreszcie, ufając posłaniu świętych ksiąg, wierzymy, iż za dobre uczynki będziemy wynagrodzeni w tym życiu czy w przyszłym, lub też z miłości do Boga staramy się żyć tak, jak On przykazał.

Przedmiot i sposób daru

DAWNIEJ I OBECNIE

Zwyczaj dawania prezentów jest powszechny i stary jak świat. W dawnej naszej obyczajowości odgrywał nawet większą rolę niż dzisiaj. Wartość prezentów była bardzo różna, zależnie od zamożności dających, wahała się od drobiazgów do okazałych fortun. Wśród szlachty — podaję za S. Bystroniem — „Najczęstszymi darami były konie i psy myśliwskie, kosztowniejsze przedmioty zdobyczne, dywany, broń wschodnia, potem futra, dalej klejnoty, a więc pierścienie, spinki, potem tabakierki, zegarki itd. Jeśli gospodarz był bardzo gościnny lub też chciał się wkupić w czyjeś łaski, ofiarowywał gościowi ten przedmiot, który tenże przypadkowo lub umyślnie pochwalił. Podobał mu się koń w stajni, na drugi dzień otrzymywał go wraz z pachołkiem, zwrócił uwagę na jakiś kobierzec, znajdował go w swym powozie na odjeźdźnym. Otóż i taki przykład z pamiętników Cichockiego:

«Jechałem z panem Józefem kariolką czterema prześlicznymi końmi gniadymi, a gdy je pochwalił, odpowiedział mi grzecznie:

— Pan swoim jedziesz ekwipażem...

Jakoż wraz z furmanem i powozem zmusił mnie do ich przyjęcia»¹.

Lektura Bystronia wzbudziła we mnie ambicję podobnego opisanie prezentów dawanych za mego życia. Podobnego?! Nie, to niemożliwe — nie ta epoka, nie ta sfera!

... za to byłem świadkiem gwałtownych przemian w obyczajach.

Przed wojną (drugą światową) przynoszenie prezentów było mniej powszechne niż dzisiaj. Rosłem w średnio zamożnym środowisku inteligencji pracującej, gości mieliśmy co tydzień, ale nie pamiętam, by cokolwiek przynosili. Kwiaty również były rzadkością. Nawet ja, dziecko, niczego nie dostawałem.

W święta i w dzień imienin matki goście przynosili kwiaty (mądrzejsi, według mnie — czekoladki), ale choć kwaciarni było mniej niż obecnie, nie pamiętam w nich tłoku. Duży ruch panował w sklepach jedynie przed Gwiazdką, choć powszechnym zwyczajem było obdarowywanie się tylko w kole rodziny, najbliższych przyjaciół (pamiętam: do wujostwa w mająteczku na wsi zawieźliśmy czterolampowe radio na baterie, było mi go żal, w domu radia nie mieliśmy). Żaden prezent otrzymany przez matkę, ojca czy dziadków nie zrobił na mnie wrażenia, a na pewno zapamiętałbym, gdyby było coś podobnego, do ekwipażu wraz z furmanem... Może... tak, przypominam sobie, i to był najdroższy prezent ofiarowany w mojej rodzinie za mego życia — Zofia Stankiewicz, gdy otrzymała nagrodę za grafikę, zafundowała swojej siostrzenicy, a mojej mamie, wycieczkę na światową wystawę do Paryża.

Byłem dzieckiem, mogłem nie wiedzieć, więc teraz pytam starszych ode mnie, ale i oni nie przypominają sobie niczego, co by dorównywało ekwipażowi. Tak — mówią mi — tradycyjnie młody człowiek dawał narzeczonej w dniu zaręczyn pierścienek, nieraz kosztowny, a w dniu ślubu teściowa mogła przekazać rodzinny klejnot, później niekiedy żona dostawała futro, gdy urodziła pierwszego syna, a bogaty kuzyn czy przyjaciel, wybrany na ojca chrzestnego, wpłacał kilkaset złotych (co prawda ówczesnej wartości) na książeczkę PKO, by dziewczynka, gdy dorośnie, miała posag. Nie udało mi się jednak dotrzeć do żadnego starszego pana, który mógłby pochwalić się tym, że zrujnował się na kobiety (a przecież na pewno zdarzało się, że zamiast ślubnego kobierca brylant torował drogę do serca); słyszałem tylko, że Lucyna Messal, gwiazda operetki, dostała od swoich warszawskich wielbicieli motyla, z brylantów.

Po wrześniu 1939 r. w moim środowisku zapanowała bieda. Wystarczyło kilka miesięcy okupacji, by weszło w zwyczaj przynoszenie z sobą kawy, herbaty, czekolady. Produkty te w miarę upływu czasu stawały się nieosiągalne i chyba już po roku zaczęto, zrazu nieśmiało i ukradkiem, później śmielej i otwarcie, przynosić w prezencie jajka, cukier i wędliny (pochodzące oczywiście ze szmuglu). Poza żywnością prezentem mogło być wszystko, co praktyczne, bo osobom bez smykałki do interesów i bez rodzinnej biżuterii na sprzedaż brakowało wszystkiego.

¹ S. Bystron *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI do XVIII*. Warszawa 1960, s. 175— 178.

Właściwie dawanie sensownych prezentów było wtedy łatwe, tylko... nie każdego było stać na nie. Wzruszające opowiadanie: „W dniu moich urodzin szliśmy Nowym Światem. Mijaliśmy cukierenkę, w której wyrzucone ze swych dóbr dziedziczki sprzedawały własnego wyrobu znakomite ciastka. Chcesz — zapytał mąż — żebym ci zafundował ciastko, czy wolisz różę? Wołałam ciastko, ale poprosiłam o różę”.

Powojenna bieda spowodowała, że okupacyjny typ prezentów trwał jeszcze przez jakiś czas, ale już w połowie lat pięćdziesiątych nie zdarzyło mi się widzieć, by gość, nawet krewny, przynosił boczek czy ser. Utrzymał się jednak zwyczaj przynoszenia czegokolwiek: ciastek, cukierków, wina, kwiatów. To przekonanie, iż nie wypada przyjść z pustymi rękami, było — jak sądzę — pozostałością okupacji powojennej biedy, a także skutkiem masowego napływu do miast ludności ze wsi, gdzie wręczanie ekwiwalentu za ugoszczenie (też pozostałość biedy) było dość powszechne.

Taki zwyczaj, jak przychodzenie z podarunkiem, łatwo powstaje, a trudno zanika. Skoro Iks przychodzi do nas z kwiatkiem, to my, idąc do niego, też czujemy się zobowiązani do kupienia kwiatka. Gdy widzimy, że inni coś przynoszą, nie chcemy być gorsi, nie chcemy uchodzić za skąpców. W rezultacie, kiedy minął okres największej powojennej biedy, nie wypadało już iść do znajomych z wędliną pod pachą, ale wypadało coś przynieść. Wtedy kobiecina, która na rogu mojej ulicy sprzedawała kwiaty z kubła, dorobiła się kiosku w ciągu trzech lat, a sklepu w ciągu pięciu. „Bo kwiaty to prezent zawsze odpowiedni” — tłumaczy mi. Ja na to: „Tak, bo zrobienie go nie wymaga myślenia”. „Wiem, że to niemądre — mówiła mi znajoma wybierając się na ślub — ale przecież składając życzenia muszę wręczyć jakiś kwiatek”.

I nowożeńcy otrzymują tyle kwiatów, że czasami, ku zgorszeniu starszych, umawiają się z kwiaciarką, że je odsprzedadzą, a częściej — już nikogo nie gorsząc — składają te kwiaty na rodzinnym grobie lub — gdy nastroje są po temu — pod jednym z pomników.

Przedwojennym zwyczajem było przynoszenie praktycznego prezentu przy okazji pierwszej wizyty w nowym mieszkaniu przyjaciół, a także przychodzenie z prezentem — nie zawsze dopasowanym do okazji — na chrzciny. Dopiero wiele lat po wojnie zaczęto szumnie obchodzić Pierwszą Komunię i sypać z tej okazji takimi darami, na jakie stać kieszeń i pomysłowość dawcy.

W rodzinach rzetelnie religijnych prezenty te mają związek z charakterem uroczystości, są to więc medaliki, książki lub obrazki o treści religijnej, ale sporo się słyszy i o prezentach, które przedstawiają głównie pieniężną wartość: zegarek dla chłopca, srebrna bransoletka dla dziewczynki lub praktyczniej „coś z ubrania”. W środowiskach prymitywnych, gdzie każda okazja jest pretekstem do ochłaju, zaproszeni goście przynoszą wodę.

Wraz z nastaniem „normalnych czasów” zwiększyła się obfitość prezentów, a książki, przedmioty z porcelany i szkła, makatki, ozdobne poduszki zajęły miejsce darów żywnościowych. Konieczność przyniesienia czegoś przy małych możliwościach wyboru spowodowała, że solenizanci, a cóż dopiero nowożeńcy! dostawali kilka wazonów, kilka lamp, kilka albumów do fotografii, bo akurat te przedmioty pojawiły się w sklepach.

Wieś jest bardziej praktyczna. W każdym razie te wielkie wesela, które zdumiewają ludzi miasta swoją rozrzutnością, przynoszą raczej zysk niż stratę. Zależnie od obyczaju panującego w okolicy, zaproszeni bądź pomagają i przynoszą przed weselem mięsa i wódki, bądź podczas wesela składają hojne dary. Ostatnio (maj 1982) znajoma, która była świadkiem takiego wesela na południu Polski opowiadała, że spieszyła się widząc, jak w czasie „darowania” rzucano do kosza dwu- i pięciotysięczne banknoty, a ona miała w portfelu niewiele ponad tysiąc... Oczywiście ten zwyczaj ma swoją dobrą stronę: ułatwia start młodej parze. . Lata kryzysu i stanu wojennego 1981—1982 przywróciły obyczaj czasów biedy — znowu częstym i mile widzianym prezentem stały się jajka, masło, wędliny, nawet surowe mięso. Pytania: „Czy masz wszystko, czego ci potrzeba?”, „Czy niczego ci nie brakuje?” — słyszałem częściej niż w latach 1939—1950. Rzec można, iż nasza sytuacja sprzyja łatwości i — w pewnym sensie — kulturze prezentu. Łatwości — bo ucieszyć można czymkolwiek: parą skarpetek, koszulą, brulionem... Kulturze — bo tam gdzie rynek jest przesycony towarami, prezent to tylko kwestia pieniądza, u nas zaś — a tak być powinno — to także i kwestia trudu, jaki dawca sobie zadaje. Na Zachodzie nikt nie zna radości otrzymania książki spod lady... A podładowość ma jeszcze kulturotwórcze znaczenie: książkę „nie do dostania” chcieli się czytać, a kto by tam otwierał książki zalegające półki i witryny księgarń!

Ta historyczna notatka przedstawia sprawę w z lekka skrzywionym zwierciadle; skrzywienie to wynika z mego niechętnego stosunku do prezentów przynoszonych głównie z posłusznego poddawania się obyczajowi. Dawanie byle czego i byle jak mierzi mnie, bo w moim odczuciu i rozumieniu dawanie jest — a raczej powinno być — czymś znaczącym; tymczasem jak składanie życzeń wyrażać może tylko „mam ciebie w kalendarzu”, tak i dawanie rzeczy niepotrzebnych lub w ilościach niepotrzebnych, „bo nie wypada przyjść z pustymi rękami”, sprawiło, że, ten sposób okazywania sympatii i troski często wcale jej nie wyraża. Więc wybrzydzą na prezenty świadczące o bezmyślności — ot choćby ciastka z cukierni przyniesione pani heroicznie walczącej z otyłością albo znanej z doskonałości własnych wypieków; natomiast wysoko cenię dary, które językiem przedmiotu lub usługi mówią: znam i rozumiem twoje potrzeby, wychodzę im naprzeciw, gotów jestem zadać sobie trud, by ci zrobić przyjemność, chcę i potrafię ci dogodzić. Każdy przyzna, że inną jakość mają kupione po drodze goździki, a inną farba, którą trudno dostać, a której otrzymujący bardzo potrzebuje. Dla autora dużo cenniejszy jest wycięty z tygodnika artykuł na temat, którym się zajmuje, lub kilka konstruktywnych uwag o jego pracy niż nawet drogi, ale dość przypadkowo wybrany album.

NAJBARDZIEJ UDANE

Pracę nad tą książką zacząłem od ankietowania, kogo tylko się dało pytając, jaki dar — prezent lub akt pomocy — najbardziej mu się upamiętnił. Oto część zebranego plonu:

„Po powstaniu, wywieziona na przymusowe roboty do Niemiec, czułam się tam, we wrogim otoczeniu, przeraźliwie obco, aż kiedyś jedna z robotnic, Niemka, po kryjomu wsunęła mi jabłko do kieszeni fartucha”.

„Wypuszczono nas z odrobiną pieniędzy, a miałyśmy przed sobą co najmniej tydzień podróży przez obcy kraj; nawet gdyby można było kupić coś do jedzenia, nie starczyłoby. Mówiliśmy o tym jadąc... Miałam miejsce przy drzwiach; kiedy pociąg zatrzymał się i kilku podróżnych wysiadło, poczułam coś na kolanach. Bochen chleba! Teraz wiedziałam, że w drodze nie poumieramy z głodu. I, co równie ważne, wiedziałam, że mogę liczyć na pomocne dłonie”.

*Człowieczej ręki ciepło, którą mi podano;
przez lata noszę z sobą, już się nie wystudzi.*

S. J. LEC *Człowieczej ręki ciepło.*

„Pierwsza spódnica po powrocie z obozu, to była radość! Dostałam ją z UNRRA¹. Pędziłam do domu, by czym prędzej zrzucić z siebie okropny lach — spodnie z wojskowego materiału, które sama uszyłam w obozie i w których co dzień przez rok chodziłam”.

„Po wojnie odziedziczyłam ruderę. Nikt nie chciał jej kupić. Znajomy architekt poradził, żebym wzięła dużą pożyczkę i ruderę wyremontowała. Trzeba tylko, powiedział, przedstawić w banku kosztorys i wykazać się posiadaniem części gotówki potrzebnej na remont. Nie miałam pieniędzy nawet na opłacenie kosztorysu. Znajomy sporządził go w prezencie, a inny pożyczył mi książeczkę PKO na okaziciela. To były najwspanialsze i najmądrzejsze dary, jakie w życiu dostałam”.

„Olbrzymia radość — paczka od mojego pierwszego męża, z którym nie widzieliśmy się od czterdziestu lat. Zawartość paczki też się przydała, ale gdyby pochodziła od kogoś innego, to ani w połowie, ani w jednej dziesiątej tak bardzo by mnie nie ucieszyła”.

¹ UNRRA — organizacja Narodów Zjednoczonych, która po wojnie prowadziła akcję pomocy dla najbardziej zniszczonych krajów sojuszników.

„Największa radość ostatnich lat: zaproszenie z zagranicy od człowieka, którego kochałam przed wojną”.

„W roku 1945, kiedy penicylina była rzadkością, przyjaciel zdobył mi kilka fiolek. Uratowały życie mojej matce”.

„Chyba pamiętacie własne dzieciństwo i rozumiecie, że nigdy w życiu nie pragnąłem później niczego z równą żądzą, jak wówczas tego filmu, którego nazwy już dzisiaj nie wspomnę. Odchodziłem od kasy chyba godzinę zdruzgotany, przytłoczony rozpaczą, bliski samobójstwa. Wówczas zaczął mnie podchorążak wysoki i piękny, uosabiający urodę i pomyślność życia. Zapytał mnie, jednego z tysięcy podobnych sobie wyrostków, o przyczynę zmartwienia. A kiedy wyznałem, że zabrakło mi 10 gr, by zapłacić za bilet, że swej jedynej złotówki odjął dziesięć groszy i podarował mi (...). Zastanowiło mnie tylko, że owe dziesięć groszy stało się podstawą mojego kodeksu światopoglądowego. Że później, w okresach kolorowych mego życiorysu i tych szarych, gorzkich, uważałem za konieczne pomóc w każdej okazji drugiemu człowiekowi” (T. Konwicki *Sennik współczesny*).

„Byłam ubogą sierotą, a w tych czasach ubóstwo znaczyło nawet niedojadanie. Kiedyś na pauzie dyrektorka szkoły, widząc, że gryzę kawałek chleba, zdziwiła się: «To już drugie śniadanie?» «Nie, proszę pani — odpowiedziałam — pierwsze». Przyjrzała mi się i nic nie mówiąc odeszła. Miałam kąpiel w tym samym budynku, w którym mieściła się szkoła, więc woźny, który na drugi dzień przed lekcjami po mnie przyszedł, nie miał daleko. Kazał mi iść do dyrektorki. Byłam przerażona. Co znowu zbroiłam? «Siadaj i jedz» — powiedziała, gdy woźny wprowadził mnie do mieszkania. Jak dziś pamiętam, na czysto i starannie nakrytym stole leżały bułki, masło, jajko, stał kubek z kakao. Siadłam i jadłam.

Na drugi dzień woźny znowu po mnie przyszedł, ale wstydziłam się i powiedziałam, że nie jestem głodna. Dzień później to samo. Aż dyrektorka skrzyczała mnie: «Co to, jesteś księżniczką, posyłam po ciebie, a ty nie raczysz przyjść? Masz co dzień jeść u mnie śniadanie.

... i do końca roku szkolnego co dzień jadłam u niej śniadanie”.

„Starałam się, by nie wiadomo w szkole, że lecę za granicę, ale gdy wyszłam na płytę lotniska, usłyszałam z góry: «Pani psorko!» i z tarasu dla odprowadzających kilkusobowa delegacja mojej klasy rzuciła mi różę”.

„Żaden w życiu prezent nie sprawił mi tyle radości co serwis otrzymany od syna. Nie, nie dlatego, że był piękny, ale dlatego, że syn kupił go za pieniądze, które długo oszczędzał na rower. Stanęliśmy przed sklepem z porcelaną, ja się tym serwisem głośno zachwyciłam i na drugi dzień znalazłam go w domu na stole. «Syn mnie bardzo, ale to bardzo kocha» — pomyślałam”.

„Przyjaciel usłyszał, jak narzekałam, że nie wiem, gdzie można dostać gumowe buty, i przywiózł mi parę. Lubię już samo ich naciąganie, bo to preludium wyprawy”.

„Mąż przywiózł mi z Paryża nuty, których tu daremnie szukałam. Wiedział, czym mnie uradować”.

„Siostrzenica wpada do mnie w drodze do pracy. Na kilka minut. Czasami coś przyniesie. Wiem, że mam w niej oparcie. Wiem, że gdy zachoruję, nie będę sama”.

„W maju 1934 r. odwiedził naszą szkołę major Stanisław Skarżyński. Było to po jego przelocie przez Atlantyk. Urządziliśmy bohaterkiemu pilotowi wielką owację. Podczas spotkania zaproponowałam gościowi, aby w czasie godzin lekcyjnych, najlepiej podczas lekcji francuskiego, przyleciał i pokrążył nad naszą szkołą.

Szkoła nasza wydawała miesięczne pismo «Brzask». W jednym z numerów tego pisma wydrukowano dwa moje artykuły. Jeden dotyczył przelotu nad Atlantykiem, drugi wizyty w naszej szkole. Ten numer miesięcznika wysłałam Majorowi. I oto pewnego dnia, gdy rozpoczęła się lekcja francuskiego, odezwał się warkot silnika i nad budynkiem zaczęła krążyć samolot. Mimo protestów profesorki wybiegłyśmy z klasy z krzykiem «Skarżyński!»

Pilot pomachał ręką i skierował lot nad pobliską łąkę. Biegliśmy w tę stronę. Ja, jako najniższa, nie nadążałam za innymi. Z samolotu wysunęła się ręka i coś zaczęło spadać. Usłyszałam okrzyk: «Ola, prędeży, to dla ciebie». Dobięłam. Do woreczka z piaskiem była przyczepiona koperta z moim nazwiskiem, a w środku wizytówka majora Skarżyńskiego. Na odwrocie podziękował za moje artykuły. To był wspaniały podarunek (...)

RZECZOWE I NIERZECZOWE

Mówiąc o dawaniu myślimy zazwyczaj tylko o świadczeniach rzeczowych, jakby zapominając, że „Istnieje dwojaka szczodroblivość: jedna śpieszy z pomocą materialną, to znaczy użycza pieniędzy, druga polega na oddawaniu osobistych usług i często jest o wiele szlachetniejsza i znacznie hojniej świadczona”¹.

Odprowadzenie na dworzec obladowanego przyjaciela więcej znaczy niż kupienie mu książki; dotrzymanie towarzystwa komuś, kto na zawsze rozstał się z ukochanym, więcej znaczy niż przyniesienie mu tortu. Pomoc przy ciężko chorym więcej znaczy niż pierścionek. Prezenty-przedmioty są widoczne, dotykalne, określone, ale dobra niematerialne i niewymierne, serdeczne usługi lepiej wyrażają troskę, życzliwość i przyjaźń, a to choćby dlatego, że jako osobiste wymagają większego zaangażowania, są trudniejsze. Prezent raz nabyty i ofiarowany „załatwia sprawę”, a niematerialne świadczenia mogą wymagać cierpliwości i dłuższego zachodu, pamięci i trwałego nastawienia. Nawet uważne wysłuchanie kogoś, kto chce się wyżalić i może nudzi lub drażni, jest darem, i to większym, bardziej znaczącym niż butelka wina. „Dobre wysłuchanie uspokaja wzburzone serce” — pouczał swych urzędników egipski wazyr dwa i pół tysiąca lat temu.

Nierzeczowym darem może być wysłuchujące milczenie, ale także mogą nim być właściwe słowa. Znalezienie takich słów, które ulżą w cierpieniu lub sprawią radość, świadczy nieraz o większej inteligencji lub intuicji, większej sympatii i trosce niż znalezienie nawet trafnego prezentu; przecież szczere słowo pochwały bardziej cieszy niż doniczka azalii, a słowo zachęty więcej waży niż pudło czekoladek.

„Szczodry człowiek daje raczej pomoc niż rady” (L. Vauvenargues). „Z tysiąca złotych więcej pożytku niż z tysiąca słów” (podśluchane). Słyszac takie zdania potakujemy i dopiero po chwili przychodzi refleksja, że — jak zwykle — zwiezłość aforyzmu została okupiona niedomowieniem.

Rada bywa nieraz wszystkim, co możemy dac, i tym, czego drugi człowiek najbardziej potrzebuje. A słowo? Z *Talmudu*: „Kto daje biedakowi drobną monetę, otrzymuje sześć błogosławieństw, ale kto przemówi doń dobrym, słowem, otrzyma ich jedenaście”.

W scenie opisaney przez A. Szymańskiego (*Srul z Lubartowa*) ubogi handlarz, syberyjski wygnaniec, przychodzi do narratora niedawno przybyłego z kraju nie po to, by wielu innych posłuchać o sytuacji politycznej Europy, o cenach produktów, ale o samej ziemi rodzinnej — chory na tęsknotę:

„(...) i słuchał mnie Srul, cały w słuch zamieniony, z otwartymi usty, wlepionym we mnie wzrokiem; wzrokiem tym palił mnie i podniecał, wrywał mi słowa, chwytal je spragniony i kładł głęboko na dnie swego serca gorącego”.

Oczywiście wiele jest sytuacji, w których słowa — nawet te właściwe — są mizerną namiastką pomocy. Na przykład zamiast konkretnej informacji o możliwościach zorganizowania odpoczynku” — paplanie „dobrze by ci zrobił wyjazd”.

Koszt darów nierzeczowych — w tym przede wszystkim czasu — przewyższa często koszt rzeczowych dlatego, że dla wielu ludzi czas jest cenniejszy od złotych. Mówi niejeden: „Proś mnie o wszystko, byle nie o mój czas”. Ale właśnie czyjeś czasu potrzebuje matka, gdy zabiera się do porządków, właśnie czyjeś czasu potrzebuje ojciec, gdy pragnie, by mu podyktować fragment przepisowywanej książki; czyjeś czasu potrzebuje chory samotny człowiek, gdy gwałtownie zatrzymuje gościa (dla niego dwie godziny, które gość przy nim spędził, to mało, a dla gościa to poważna wyrwa w zajęciach, w pracy lub w przyjemnościach); czasu potrzebuje koleżanka, która nie może zrozumieć lekcji; babcia, która boi się sama podróżować; i zakochana, dla której ta jedna godzina, jaką chłopiec spędza z nią co drugi dzień, to przeraźliwie mało. Lecz skąpiący czasu mówi: „Proś mnie o wszystko, byle nie o mój czas”.

¹ Św. Ambroży z Mediolanu *Obowiązkach duchownych...*, s. 137.

Także E. Fromm silnie podkreśla znaczenie darów nierzeczowych: „(...) najważniejszą dziedziną, w której człowiek może coś dać człowiekowi, nie jest sfera rzeczy materialnych, lecz ściśle ludzkich. Co daje jeden człowiek drugiemu? Daje siebie, to, co jest w nim najcenniejsze, daje swoje życie. Nie musi to oczywiście oznaczać, że poświęca swoje życie dla drugiego człowieka, lecz daje mu to, co jest w nim żywe, daje swoją radość, swoje zainteresowanie, zrozumienie, swoją wiedzę, humor i smutek (...). W ten sposób, dając swoje życie, wzbogaca drugiego człowieka, wzmacnia poczucie jego istnienia, wzmacniając zarazem poczucie własnego istnienia”¹. „Powinno się być jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może kęs dla siebie ukroić, nakarmić się, jeżeli jest głodnym” (A. Chmielowski).

Udzielać siebie, dawać z siebie... albo całego siebie dać. Całego siebie chce dać kochający mężczyzna i całą siebie dać chce kochająca kobieta. I on, i ona rzadko urzeczywistniają ten zamiar. I nie łudźmy się, prawie zawsze dajemy tylko cząstkę siebie, czasem dużą, częściej małą. Dajemy ją osobie lub sprawie nieraz przez długie lata, a nieraz tylko przez dni lub tygodnie...

Idealnie rzecz biorąc — czy to znaczy, że nierealnie? — sens ma tylko życie, które jest darem. Ładna to myśl, ale krępująca. Jaką cząstkę mego życia ja podarowałem? Komu? Czemu?

Skoro mówię o wartości daru, powinienem sprecyzować pojęcie tej wartości.

WARTOŚCI MAŁE I DUŻE

Rozróżniam trzy wartości daru: a) obiektywną, b) wartość dla dającego, c) dla otrzymującego.

a) Wartość obiektywna daru wyraża się głównie jego ceną. Chciałbym, aby Czytelnik przyznał, że wartość obiektywna ma w porównaniu z dwoma pozostałymi małe znaczenie. Co prawda zdarzają się osobnicy, którzy biorą pod uwagę głównie cenę daru, prowadzą liczbowy rachunek zobowiązań i rewanżów; zdarza się, iż ktoś zamiast ślicznego bukietka stokrotek za dwadzieścia złotych przychodzi z okropnym storczykiem za pięćset, bo sądzi, że tani prezent będzie nie na poziomie. Tacy osobnicy i takie przypadki świadczą o komercjalizacji dawania, a więc o tym, przeciw czemu zwraca się duch tej książki.

b) Wartość obiektywna jest łatwo uchwytana i wyrażalna, pozostałe rzadko dają się ocenić i określić. Tylko najbliższy ofiarodawcy człowiek może mieć pojęcie o tym, jaką subiektywną wartość dar dla niego przedstawia, jak trudno (czy łatwo) było mu rozstać się ze złotówkami, które kosztował, albo jak trudno (czy łatwo) było mu zdobyć się na wysiłek, przełamać wewnętrzny opór (lenistwo, lęk?) lub wyrwać ze swego dnia kilka godzin.

c) Dar przedstawia (albo nie przedstawia) dla otrzymującego wartość praktyczną i symboliczną. Pierwsza pochodzi stąd, iż dar zaspokaja potrzebę materialną, druga stąd, iż zaspokaja potrzebę psychiczną.

Obie te wartości są niewymierne i niestałe, zależne od kilku wewnętrznych i zewnętrznych warunków; rozpatrzmy je niedługo, tu wystarczy podkreślić, że wartość dla otrzymującego zależy bardziej od jego nastawienia, a mniej, dużo mniej, od wartości obiektywnej i od kosztów czy trudów poniesionych przez dawcę (dziesięć groszy uzupełniająca cenę biletu!).

Trzy wartości, o których mowa, mogą być zbieżne albo rozbieżne. Zbieżność trzech małych wartości: bez kłopotu i niedrogo kupiłem ładną karafkę i zrobiłem nią prawdziwą, choć niewielką, przyjemność solenizantowi. Mała była wartość obiektywna tego daru i małą subiektywną wartość przedstawił on dla dającego i otrzymującego. Zbieżność trzech dużych wartości: w czasie wojny chłop na uboczu wsi mieszkający nakarmił partyzantów całym swoim zapasem żywności...

Przykłady rozbieżności częściowych — wartość obiektywna duża, ale dwie subiektywne małe: bogaty wuj kupił drogie kolczyki siostrzenicy, która, miała już całą kolekcję biżuterii.

Wartość obiektywna i subiektywna dla dającego duża, ale dla otrzymującego mała:

M. kupił przyjacielowi-tłumaczowi wspomniały słownik; bardzo długo go szukał i sporo za niego zapłacił, ale tłumaczowi stary zupełnie wystarczył, był do niego przyzwyczajony, do nowego nawet nie zagląda.

¹ E. Fromm *O sztuce miłości...*, s. 38.

Dawcy nieraz odczuwają, że obdarowany nie jest im tak wdzięczny, jak powinien; nigdy nie wspomni, że dostał złoty łańcuszek, a wspomina i chwali, że mu ktoś inny zreperował fotelik. To niesprawiedliwe? Cóż, prawdopodobnie reperacja fotelika była bardziej trafionym darem; biorca ocenia raczej tę wartość, jaką dla niego dar przedstawia, a nie koszt, jaki dawca poniósł.

Tragiczna bywa rozbieżność tych wartości, gdy jedna strona całkowicie -się poświęca nie przynosząc drugiej ani radości, ani pożytku. B. kochając się w jednej dziewczynie — co prawda bez wzajemności — ożenił się z drugą, która — jak się zdawało — żyć bez niego nie mogła; bardzo szybko okazało się jednak, że mogła...

Rozbieżność przeciwna, jako że szczęśliwa, zachodzi wtedy, gdy dar, który pod każdym względem niewiele dającego kosztuje, przedstawia dla otrzymującego dużą wartość. Przykłady:

Słowa „Postąpiłeś słusznie” — dla kogoś, kto działając w dobrej sprawie naraził się na niepopularność. Kilka cebulek rzadkiego gatunku irysa dane z własnej działki miłośnikowi tych kwiatów.

Przykład dla uśmiechu z mojego dzieciństwa:

Miałem pięć albo sześć lat. Wieczorem był u mamy z wizytą znany skrzypek. I dlatego, choć już kilka minut cierpliwie w łóżku leżałem, mama nie przychodziła na dobranoc. Oczywiście moja cierpliwość musiała się wyczerpać i wielkim głosem zacząłem upominać się o moje prawa. Przyszła. Z gościem. Żeby mnie zawstydzić. Ale gość okazał się na poziomie: zamiast mnie zawstydzić, zagrał. Zapamiętałem tylko naśladowanie różnych odgłosów, zwłaszcza skrzypienia drzwi. To skrzypienie zrobiło na mnie takie wrażenie, że przez pewien czas chciałem zostać skrzypkiem. No i proszę — dla mistrza ów dar nie miał żadnej wartości, nie miał też wartości obiektywnej, a byłby zdecydował o całym moim życiu, gdyby nie okazało się, że przy moim urodzeniu zabrakło wróżki szafarki talentów, której dar umożliwiłby mi odgrywanie na skrzypcach czegoś więcej niż skrzypienia drzwi.

Przykład dla głębszej zadumy:

W niedzielę rano J. odebrał telefon od biurowego kolegi. Nie rozumiał sensu tego telefonu „ni w pięć, ni w dziewięć”, ale uprzejmie porozmawiał i nawet udzielił kilku rad... Po latach kolega ów wyznał, że tej niedzieli, sam w domu, postanowił wyskoczyć oknem, chciał jednak przed tym usłyszeć czyjś głos, przypadkiem otworzył notes na numerze znajomego z biura, zadzwonił i rozmowa trochę go uspokoiła, powstrzymała... Dla tego, kto dał, było to mało, dla tego, kto otrzymał — dużo. Ten, kto daje, nie zawsze wie, ile daje, jak ważny jest jego dar, a ten, kto powstrzymuje się przed daniem, nie zawsze wie, jakiemu nieszczęściu mógłby zapobiec.

W innym sensie mało, a jednak dużo znaczą zwykłe (oby!) uprzejmości, drobne akty pomocy. W pociągu umieszczenie na półce czyjś bagażu czy podanie go przez okno wysiadającemu, ustąpienie miejsca w tramwaju, pożyczenie książki, w towarzyskiej rozmowie podsuniecie milczącemu „jego tematu”, w ulewny deszcz otwarcie parasola bezradnej staruszce, danie chustki nieznanemu, któremu krew z nosa kapie, odniesienie znalezionej portfela z dokumentami — to uczynki same przez się zrozumiałe, mieszczące się w ramach społecznego minimum, ale to one sprawiają, że w danej społeczności człowiek dobrze się czuje, przyjaźnie na ludzi spogląda i podobnie jak oni do niego, tak on do nich miło się odnosi.

Odróżnić jeszcze wypada aktualną wartość daru od jego przyszłej wartości. Zabawka przyniesiona dziecku ma dla niego wartość aktualną, uczenie go obcego języka przez babcię — przyszłą. Łatwiej i przyjemniej jest przynosić dary o wartości aktualnej, spotykają się one z większym uznaniem otrzymującego, podczas gdy te o wartości przyszłej nie tylko pociągają za sobą większe ofiary, ale też rzadko kiedy są należycie doceniane.

Natomiast nieraz z entuzjazmem są przyjmowane dary, które na dłuższą metę wyrządzają więcej zła niż dobra. Już stary Fredro pisał, że „(...) kto nieuważnie daje, bardziej zbestwi, niż naprawi”. Dając istotnie można zwichnąć czyjś charakter. Choćby to obsypywanie dzieci prezentami: „Idziemy do Zetów, trzeba coś kupić dla ich dzieciaków?”. Dlaczego trzeba? „Bo wszyscy tak robią”. W rezultacie szafki, stół, półki, półeczki, ba! nawet podłoga w kąciku dziecka gęsto zastawione są samochodzikami, okręcikami, helikopterkami, traktorkami, misiami, lalkami i całym arsenałem plastikowej broni, zwłaszcza karabinów maszynowych. Dziecko przerzuca się z jednej ohydki na drugą, trzecią i trzydziestą, nie skupia się na żadnej, nie przywiązuje się do żadnej, nie wyrąbią własnej pomysłowości, nie jest w stanie zaprowadzić ładu i składu w tej masie zabawkowego śmiecia (a może to lepiej, że przyzwyczajają się do życia w uzbrojonym chaosie?)...

Dając i pomagając bez umiaru łatwo doprowadzić do dużego uzależnienia, do zaniku przedsiębiorczości i ambicji. Źle prognozuję młodzieży, której rodzice nadto życie ułatwiają, nie dopuszczając do rozwoju zaradności,

a wzbudzając pasożytnicze przekonanie „należy mi się”. Wręcz demoralizująca jest uczynność i ofiarność tych, którzy zawsze gotowi są wyręczać innych. „Zbytńia dobroć szkodliwa” — mówi porzekadło, a drugie radzi: „Nie dawaj ryby, daj wędkę”.

Skoro wyjaśniłem pojęcie daru, mogę zastanowić się nad tym, co przydaje mu, a co ujmuje tej wartości, jaką przedstawia dla otrzymującego.

WARTOŚCI PRZYDAJE...

Pomyślem i zachodem. Kultura wyraża się w treści i w formie, kultura darów — w ich przedmiocie i w sposobie darowania.

„Przypomina mi się pewien miły pan, który co pewien czas wybiera się na pchli targ i spaceruje po nim — z czym? — z otwartymi oczyma. Szuka natchnienia. Do pomysłowych i trafnych podarunków. Zna gusta, zamiłowania, potrzeby, marzenia przyjaciół i znajomych. Kolekcjonerowi starych pocztówek kupi widokówkę sprzed pierwszej wojny, hobbyście remontującemu stare zegary — pudło od staroświeckiego czasomierza, dziewczynie szyjącej cuda ze skórek — torbę różnokolorowych skórzanych skrawków. Jasne, że nie zawsze coś znajdzie i nieraz mu się zdarza nic solenizantowi nie przynieść. Za to też go lubię, za to, czego nie przynosi.

By - sprawić darem prawdziwą, niczym nie skażoną radość, potrzeba zwykle informacji i pomysłu, spostrzegawczości i taktu. Pomysł zakwita na drzewie informacji. Nieraz przypadkowej. Pani Z. zapamiętała z rozmowy, że zatrzymywałem się w miasteczkach, daremnie szukając makutry, więc poszukała i znalazła taką na targowisku w Warszawie.

Niekiedy konieczna może się okazać informacja o obyczajach. Wydawałoby się, że nasze znamy, ale oto ktoś przynosi ciężko choremu chryzantemy, a są to kwiaty nagrobne. W Japonii natomiast gość powinien przynieść właśnie chryzantemy. W krajach arabskich nie wolno dawać prezentu żonie gospodarza.

Spostrzegawczość i takt potrzebne są choćby po to, by zorientować się, że czasami okazanie współczucia drażni, a słowa pociechy zwiększają przygnębienie.

Wobec tego, że wartość, jaką dar przedstawia dla otrzymującego, zależy od napięcia potrzeby, którą zaspokaja, obok „co” równie ważne jest „kiedy”. „Dar w czas dany miłszy bywa” — uczy nasze porzekadło, a La Bruyere pisał: „Hojność polega nie tyle na tym, aby dawać dużo, co na tym, aby dawać w odpowiedniej chwili”.

„Najrozsądniejszym prezentem jest. gotówka” — usłyszałem...; cóż, wiem, że z okazji ślubu młodzi woleliby dostać kilkadziesiąt-set tysięcy niż kilka serwisów, których nie będą mieli gdzie postawić, ale gotówce brak znamienia indywidualnego pomysłu i... jest po to, by ją wydać. Co innego dobro trwałe, ładnie pomyślane, może wzbogacone słowami, które się będzie pamiętać. Ciężko chora babcia dała nam srebrną cukiernicę ze słowami: „Całe życie trzymałam w niej cukier, tak jak moja mama, a wasza prababcia, teraz wy...”

Dla matki dużo więcej znaczy pudełko wycięte i sklezione przez synka niż kwiaty kupione za pieniądze otrzymane z tym przeznaczeniem od ojca. Oczywiście miód od pszczelarza-amatora pod każdym względem bardziej cieszy niż kupiona przez niego płyta. Gdyby matka uczennicy, którą przygotowaliśmy do egzaminu, okazała nam wdzięczność przynosząc kryształ, sprawiłaby przykrość, ale przynosząc słoik konfitur własnej roboty zrobiła dużą przyjemność. Ciepło wspominam wspaniałe domowe ciasto, które dostałem w zamian za egzemplarz mojej książki, a i przyjemność mi sprawia piękny plakat powieszony w kuchni — przyjaciele pamiętali, że się nim zachwyciłem, i po roku go dla mnie zdobyli.

Wartość prezentu własnej roboty pochodzi z dwóch odczuć: nie wzbudza przykrej myśli o poniesionych przez dawcę kosztach pieniężnych, natomiast nasuwa miłe przypuszczenie, iż pracował z myślą o zrobieniu przyjemności. Ma się rozumieć, iż rzeczy kupione-zdobyte dużym zachodem liczą się tak samo, jak te wykonane własnymi rękami.

Prawdopodobnie takie odczucia pochodzą stąd, że nieraz bardziej niż wszystko inne liczy się intencja daru.



Chodzi o symbol. Rozbieżność między obiektywną a subiektywną wartością daru pochodzi między innymi z tego, że może on przedstawiać wartość symboliczną; wtedy jest mniej istotne, czym jest, a więcej, co wyraża; pamiętamy radość nauczycielki z róży, którą uczniowie przynieśli jej na lotnisko. „Lepiej jest być proszonym na jarzynę z miłością niż na ciele tłuste z nienawiścią”¹.

Ponieważ najczęściej dar ma być wyrazem sympatii, wartość jego jest tym większa, im bardziej pożądana jest ta sympatia; to dlatego prezenty od osób lubianych bardziej cieszą niż podobne od nie lubianych. „Kamień z ręki przyjaciela jest jabłkiem” — mówi przysłowie mauretańskie. Bukiecik fiołków od kochanego chłopca bardziej dziewczynę uraduje niż kryształowy wazon od niepożądanego adoratora. „Najmilszy prezent, jaki otrzymałam na imieniny? Mąż zawiązał sobie kokardkę i powiedział: «W prezencie daję ci samego siebie»”.

Symbolika daru nie ogranicza się do wyrażenia miłości. Jabłko i chleb otrzymane od nieznanego w obcym kraju podczas wojny kobiety odczuły jako zapewnienie, iż nie są otoczone tylko wrogami lub obojętnymi ludźmi; dary te urosły do symbolu życzliwości tam, gdzie wydawało się, że nie może jej być.

W tym kontekście jeszcze raz przypominam o tym małym, które znaczy dużo, o tym małym, dzięki któremu ciemności, stają się mniej straszne:

*Babcia w czarnych sukniach
w drucianych okularach
z laseczką
stawia stopę nad przepaścią krawężnika cofa
rozgląda się bojaźliwie
choć nie widać siadu samochodu
Podbiega do niej chłopczyk
bierze za rękę
i przeprowadza przez otchłań ulicy
na drugi brzeg
Rozstępują się straszliwe ciemności (...)*

T. BOŻEWICZ Przepaść

Ponieważ dary przedstawiają poza swoją wartością obiektywną i praktyczną także wartość emocjonalną, ponieważ są nieraz naładowane treścią symboliczną, przeto nic dziwnego, że weszły w krąg zainteresowań magicznych. I to trojako. Po pierwsze, w wielu, a może we wszystkich społecznościach istniała — nieraz jeszcze istnieje — wiara, iż rzecz otrzymana wiąże biorcę z dawcą, wiąże prawnie, moralnie, religijnie lub magicznie (w staropolskim języku „nieść związki” znaczyło — przynosić prezenty); niekiedy nawet wierzono, iż hojny dar umożliwia dawcy władzę nad biorcą (zwłaszcza gdy ten nie był w stanie zrewanżować się darem podobnej wartości). Po drugie, w kulturach pierwotnych wręczanie darów bywało częścią obrzędów magicznych, a u nas pozostało jednym z elementów obchodzenia niektórych świąt religijnych. Użyteczność ofiarowywanych przedmiotów, ich obiektywna wartość może mieć charakter podrzędny, tradycja i intencja uzupełnia ich treść. Po trzecie, wierzono, że prezent ofiarowany z dobrą myślą sprowadza szczęście, a ze złą — nieszczęście (czy i dziś nie odczuwamy niechęci do przedmiotów, które — podejrzewamy — nie zostały nam dane ze szczerą sympatią?). Ponoć amulet kupiony nie posiada żadnej siły, musi być ofiarowany, i to z dobrym i silnym życzeniem... Piszę tę książkę z dobrym i silnym życzeniem.

¹ *Stary Testament, Księga przypowieści XVII.*

...a także z myślą o tym, by tu i ówdzie przyjął się czy rozwinął załączek prakseologii dobroci.



Człowiek nie pies. „Mało pożytku z dobroci głupca” — stwierdza gruzińskie przysłowie; przypomina ono o ludziach z wielkim sercem, ale z niewielkim rozumem — dobroć ich nieraz marnuje się, czasem nawet wyrządza szkody.

Prakseologia to nauka o zasadach skutecznego i sprawnego działania. Dobroć to nastawienie na bezinteresowne działanie przysparzające ludziom radości, zapobiegające cierpieniom lub niosące ulgę. Dobroć wskazuje cel, prakseologia podpowiada taktykę.

Dawca osiąga swój cel, gdy dar jest tak pomyślany, że stanowi wartość dla otrzymującego, i tak ofiarowany, że nie kaleczy uczuć. Jak niegrzeczna i agresywna obrona słusznego stanowiska wzmacnia stanowisko przeciwne, tak sposób dania może pomniejszyć, a nawet zniweczyć wartość daru — mam na myśli przede wszystkim takie zachowanie się dawcy, które nasuwa podejrzenie, iż powoduje nim chęć wywyższenia się czy interes, oschłe poczucie obowiązku lub nawet sama litość. Pies chętnie podnosi byle jak rzuconą mu kość, ale człowiek...

...dla człowieka, zwłaszcza wrażliwego i kulturalnego, niebłahe znaczenie ma elegancja, to „opakowanie” daru, nawet w dosłownym tego słowa znaczeniu.



Niebłahe znaczenie elegancji. Wychodziliśmy na wilię do przyjaciół. Było późno, trzeba się było spieszyć, tymczasem żona pakowała prezenty i prezenciki, grzebała się w starych, specjalnie na ten cel przechowywanych papierkach; nawet tasiemki i kolorowe sznurki musiały być dobrane. Niecierpliwiłem się: „Marudzisz... Przesadzasz... Nie lubię zbędnej pracy... Spóźnimy się”.

Gdy przeszło zniecierpliwienie, przyszła refleksja: czy praca żony była zbyt duża? Przypomniało mi się opowiadanie znajomej, która jako dziecko tak lubiła rozpakowywanie prezentów pod choinką, że... z powrotem je zapakowywała, by na drugi dzień znowu... Przypomniało mi się, że kapitalistyczne firmy ponoszą duże wydatki na efektowne opakowanie, a — można im ufać — dobrze kalkulują...

Opakowaniem prezentu jest nie tylko i niekoniecznie ładny papier, ale przede wszystkim towarzyszące wręczeniu go słowa, uśmiech. Młody człowiek kupił pęk kwiatów i w Dzień Kobiet rozdawał je na ulicy starszym paniom. Gdy zaskoczone wzbraniały się, tłumaczył z uśmiechem: „Bo moja mama jest bardzo daleko...” Pani, która była świadkiem tej sceny skonstrastowała ją z inną, którą widziała w telewizji tego samego dnia: pracownice jakiegoś zakładu stojące w ogonku po przydział swojego kwiatka i kwitujące jego przyjęcie.

Najmilszym sposobem ofiarowania jest ten, który pozwala wierzyć, że dawcę raduje sprawienie radości.



Radosnego dawcę miłuje Bóg. Pewnie jestem przewrażliwiony, ale do dziś pamiętam burkliwie: „No to weź, jak chcesz, tylko nie zniszcz” — mojego znajomego, od którego chciałem pożyczyć książkę, pamiętam zeszytowanie twarzy pewnej pani kierowniczką, gdy się do niej zwróciłem: „Mam prośbę...”, pamiętam nawet wyraz niechęci i niepokoju, jaki malował się na twarzy dziecka, które czuło się w obowiązku poczęstować mnie otrzymanymi czekoladkami. Natomiast do miłych wspomnień zaliczam ciastka w małej cukierni, na które sobie niekiedy za czasów studenckich pozwalałem — podawała je kelnerka z czarującym uśmiechem, który wiele wspaniałego smaku im przydawał, wspominam wyraźną radość pani S., gdy odgadła, że może mi zrobić przyjemność dając zaproszenie na pokaz filmu Felliniego, i wspominam miłą dumę, z jaką inna pani obserwowała mój zachwyty nad otrzymaną od niej starą filizanką.

„Każda rzecz jest tym przyjemniejsza, im ją daje twarz weselsza” — głosi przysłowie; św. Paweł zapewniał, że „radosnego dawcę miłuje Bóg”, a Mikołaj Rej pouczał: „(...) wszakże to i każde inne, gdy bywa komu czynione z krzywą a zasepioną twarzą, już nie może nigdy tak wdzięczne być jak owo, które z uprzejmej ochoty, a z szczerą miłości jednego przeciw drugiemu czynione bywa”.



Złota drabina. Godne uwagi są stopnie sztuki dawania opisane przez Maimonidesa (1135—1209) w jego *Złotej drabinie miłosierdzia*:

„Pierwszy stopień — dawanie z żalem i z niechęcią. To dar ręki, ale nie serca.

Drugi — dawanie pogodne, ale nieproporcjonalne do potrzeb cierpiącego.

Trzeci — dawanie pogodne i proporcjonalne, ale dopiero w odpowiedzi na prośbę.

Czwarty — dawanie pogodne, proporcjonalne i wyprzedzające prośbę, ale bezpośrednio w rękę potrzebującego, zatem wywołujące w nim bolesne uczucie wstydu.

Piąte — dawanie w taki sposób, że cierpiący otrzymuje dar znając swego dobroczyńcę, choć ten go nie zna.

Szósty — który wznosi się jeszcze wyżej, to znać ofiarodawców nie będąc znanym przez nich.

Siódmy — jeszcze bardziej chwalebny, to dawać tak, że dawca nie zna obdarowanych ani oni jego.

Wreszcie ósmy i najbardziej chwalebny polega na takim wyprzedzeniu potrzeby, by jej zapobiec, a więc pomaganiu bliźniemu, by mógł uczciwie zarobić na życie nie będąc zmuszonym do okropnej alternatywy wyciągnięcia ręki po prośbie”¹.

To, co „ze szczerą miłości” jest czynione, nie ma wad, które ujmują darowi wartości, jako że jednak miłość nie zawsze darowaniu towarzyszy, trzeba, ku przestrodze, opisać najgorsze z tych wad.

¹ Cytat za J. R. Maculay (red.) *Altruizm...*



WARTOŚCI UJMUJE

Nie bądź jak koza. „Porównano niezręcznych dobroczyńców do kozy, która pozwala się doić i przez roztrzępanie uderzeniem kopyta wywraca skopek, który napełniła swym mlekiem” (N. S. Chamfort). Tym uderzeniem koziego kopyta przy dawaniu jest przede wszystkim okazanie zniecierpliwienia lub irytacji stratą czasu, kłopotem lub materialnym ubytkiem. Wrażliwe ucho dosłyszcy nawet nie wypowiedziane: „Masz i nie zawracaj mi głowy”, wrażliwe oko odczyta z posępnej miny: „Szkoda mi...”. Jest sporo prawdy w talmudycznym stwierdzeniu: „Mało daje ten, kto wprawdzie dużo daje, ale niechętnie, ten zaś dużo daje, kto mało, ale chętnie daje”¹. I, jak zwykle, w sedno trafił Szekspir (*Hamlet*):

(...) Dla duszy szlachetnej dar cenny

Traci swą cenę, gdy laską nie darzy

Ofiarodawca.

Podczas wojny znalazły w Krakowie schronienie dziesiątki, może setki tysięcy rodzin wygnanych z Poznańskiego (1940) i z ruin Warszawy (1944), mimo to w moim pokoleniu warszawiaków często słyszało się sarkanie na sobkostwo krakowian. Skąd ta niesprawiedliwość? Warszawiaków, którzy wszystko stracili, musiało razić, gdy, powiedzmy, daleka krewna ich nie przyjęła, bo już wolnych łóżek nie miała, albo przy-jąwszy, krzywym okiem patrzyła na ich, wygłodzonych, wilcze apetyty, i ich, zdesperowanych, nonszalancki stosunek do wypieszczonej posadzki. Ci warszawiacy jeszcze po dziesiątkach lat pamiętają niespokojne spojrzenia gospodyni albo — autentyczne — przypadkiem usłyszane rozmowy:

„Jak długo to potrwa?”, „Powiedz im, że nam też ciężko”, „Widziałas, ile cukru ta mała bierze”. Typowe: jedna z warszawianek, która znalazła schronienie w Krakowie i dość długo korzystała z bezinteresownej gościnności, do dziś opowiada, jak w tramwaju zwrócono jej uwagę, że z brudnym plecakiem powinna iść pieszo.

Innym „uderzeniem kopyta” jest wywołanie w otrzymującym wrażenia gorszości. O to nietrudno; zwłaszcza człowiek biedny, słaby i rzeczywiście zależny, a przy tym ambitny, ciężko przeżywa wszystko, co wydaje mu się — choćby niesłusznie — upokarza go. „Pańska opieka oczy wypieka” — mówi przysłowie. Bo dar płynie jakby z góry, więc otrzymujący czuje się jakby na dole, przyjęciu dobra może więc towarzyszyć przykre obniżenie samooceny. Toteż delikatność nakazuje, by dawca nie podkreślał, lecz przeciwnie ukrywał swoją pozycję „na gorze”. Niewykluczone, iż dając znajduje satysfakcję w okazywaniu swoich możliwości i cnoty, nawet w manifestowaniu siły, bogactwa i przewagi. Jeśli jednak tę satysfakcję ujawni, pomniejszy wartość daru. Jeszcze gorzej, gdy pozwala sobie na pouczenia, uszczypliwości lub jakiegokolwiek okazywanie lekceważenia: „Albowiem, iż to mamy z przyrodzenia, że głębiej w serce krzywda wchodzi i dłużej się pamięta niżli uczynność” (Ł. Górnicki). Niekoniecznie krzywda, ale i drobne zadraśnięcia: „Mogę ci pożyczyć, ale właściwie to ty sam powinienes być zaradniejszy, przecież mógłbyś...” Nawet jeśli to prawda, pouczający wybrał zły moment na kazanie — wyrócił skopek.

Nader przykre bywa także uczucie uzależnienia od czyjejś laski i uczucie zobowiązania (z którego... czy zdołamy się wywiązać?), toteż najpiękniej ten daje, kto potrafi wmówić obdarowanemu, że otrzymuje nie dar, lecz coś, co mu się słusznie należy; ten, kto daje tak, jakby otrzymujący wyświadczał mu grzeczność przyjmując; ten, kto tak pomaga, że wspomóżony żywi przekonanie „sam to zrobiłem”.

Inaczej mówiąc: najszlachetniej daje ten, kto ukrywa, że daje, a w każdym razie ukrywa poniesione koszty i trudy. Paradoks: kto wartość swego daru pomniejsza, ten wartość swego daru powiększa. Porównajmy: „Skopię ci ogródek, bo sam nie dasz rady” i „Skopię ci ogródek, bo brzuch mi rośnie”.

Dzięki wspomnianemu już odgadywaniu potrzeb i pragnień otoczenia udaje się nieraz uprzedzać jego potrzeby.

¹ *Talmud*, Traktat Basra 9 według D. Rundo.



... **ani kozła nie stawiaj.** Najgorsze to, gdy czujemy, że nas kto o co prosić ma, „czoło pomarszczyć, kozła postawić (zachmurzyć się — S. G.), brwi do kupy zegnać, twarz odwrócić, na zatrudnienie swe się skarżyć albo mowę czym innym zacząć i końca jej nie naleźć, żeby jedno onego zbyć, który potrzebuje łaski (...)”. Górnicki chciał, byśmy postępowali przeciwnie, byśmy domyślali się, „(...) co by kto od nas rad miał”, i byśmy jego prośby uprzedzali. To zalecenie uzasadnia: „Żadnej rzeczy drożej nie dostawają ludzie jako tej, którą kupują prośbami (...) bowiem, iż człowiek uczciwy, gdy ma co prosić, zapłonąć się musi (...)”.

Zacytowałem „zapłonąć się musi”, bo mi się zwrot podoba, ale nie myśl. Nie sędzę, by w samym proszeniu było coś wstydliwego — choć, oczywiście, zależy, kogo się prosi o co. Gdy jednak wiem, że ten, do kogo się zwracam, chętnie coś dla mnie zrobi, i przypuszczam, że trud, który sobie zada, lub koszt, który poniesie, nie będzie większy od tej chęci, nie czuję skrępowania. Nie czuję go zwłaszcza, gdy ktoś, kto z przyjemnością może mi coś dać lub w czymś pomóc, nie ma szansy domyślić się, czego potrzebuję. Te zastrzeżenia nie zmieniają faktu, że „Człowiek wspaniały daje nie proszony, przeciętny — gdy go poproszą, podły nie daje nigdy” (przysłowie hinduskie); przypomina mi się też, że A. Dante umieścił w swoim „Piekło” obok osobników, którzy nigdy nic nie dali, tych, którzy czekali, aż ich poproszą.

Odgadywanie pragnień i uprzedzanie prośb wymaga informacji i inteligencji, ale powstrzymywanie się przed wypominaniem wymaga tylko taktu.



Żebyśmy nie wymietali na oczy uczynności naszych. „Wymówił mi ojczym, że mnie dożywał. Kością w gardle stanęły mi . jego obiady”... Wymawianie musi być częstą wadą, bo kilka przysłów je piętnuje:

Dać a wymawiać zle to obyczaje,

Kto tak ma dawać, lepiej niech nie daje.

Daleś mi raz, a stokroć dar ten wymówiłeś,

Tak cnotę wymówkami daru zatłumiłeś.

— *Dalem ci, babko, grosz?*

— *Daleś, panie.*

— *Dalem ci, babko, grosz?*

— *A daleś, panie.*

— *Dalem ci, babko, grosz?*

— *A weź go sobie, panie.*

Górnicki opowiada, jak to „Wyprosił jeden wojewoda u króla człowieka skazanego na gardło i miał go przy

sobie. A iż wojewoda przypominał często owemu wyproszonemu, że go od śmierci wybawił, nie mogąc on tej pychy cierpieć dłużej, zawołał: Prze Bóg — prawi — wróć mnie zaś do tej tur-my, z którejś mnie wyjął — wolę, że mnie jutro zetną, niż mam tak często słów tych słuchać: Jam cię wybawił od śmierci, jam ci dał żywot (...)

„Albowiem najgłówniejsze i najpotrzebniejsze to jest około uczynności przykazanie, żebyśmy nie tylko nie wymiotali (nie wypominali — S. G.) na oczy nikomu uczynności naszych (...), ale ani przypominali. To prawo dane jest i ma być chowane między tym, kto daje, a tym, kto bierze, żeby ten, kto daje, zaraz zapomniał, a ów, co bierze, wiecznie pamiętał”.

Wypominanie to wystawianie rachunku za dar — tym samym przestaje on być darem; jest ono, oględnie mówiąc, nietaktem, który nie tylko uraża i zraża, ale jeszcze ciężkim buciorem przydeptuje delikatną roślinę wdzięczności.

Podobnie przechwalanie się tym, co dano.



Nie trąb przed sobą. „Milczenie jest dla czynu tym, czym pochwa dla szpady — zapobiega zbrudzeniu” (chińskie przysłowie). Kto chwali się tym, co daje, kto swoją szczodrość rozgłasza, ten oczywiście zabiega o efekt. Na pytanie księdza: „Czy nie wystarczy ci, że Pan Bóg wie o tym?”, J. szczerze odpowiedział: „Nie”.

Co prawda lepiej jest ostentacyjnie dawać niż dyskretnie nie dawać i pewnie dlatego zarówno *Nowy Testament*, jak i *Koran* dość łagodnie potępiają ostentację:

„Gdy tedy czynisz jałmużnę (mowa o jałmużnie, ale sądzę, że te słowa odnoszą się do wszystkich darów — S. G.), nie trąb przed sobą, jako obłudnicy czynią, w bóżnicach i po ulicach, aby byli czczeni od ludzi, zaprawdę powiadam wam: wzięli zapłatę swoją. Ale gdy ty czynisz jałmużnę, niechaj nie wie lewica, co prawica twoja czyni”¹.

„Jeżeli dajecie jałmużnę otwarcie — dobre to jest, lecz jeśli dajecie ją ubogim po kryjomu — będzie to dla was jeszcze lepiej, pokryje to bowiem grzechy wasze. Allach wie o czynach waszych”². *Talmud* jest surowszy:

„Kto tajemną jałmużnę daje, ten jest wyższym od prawodawcy Mojżesza, dający zaś jałmużnę dla chęłpienia się, grzech popelnia”³.

„Mężczyźni powinno się dawać jałmużnę potajemnie, aby go nie zawstydzić, kobiecie zaś otwarcie, aby nie rzucać na nią podejrzenia”⁴.

Godna uwagi jest ta przestroga przed zawstydzaniem otrzymującego, przed unikaniem skaleczenia jego ambicji i dumy.

Pouczenia religijne odbiły się echem w niemieckim przysłowiu:

„Niechaj głosi ten, kto otrzymał, niech milczy ten, kto dał”.

F. W. Faber⁵ tłumaczy mistycznie:

„Z chwilą gdy o uczynkach swoich zaczniesz rozpowiadać, tracą one swoją moc nadprzyrodzoną”.

Lepiej też, żebyś nie trąbiły że dasz.

¹ *Nowy Testament, Ewangelia według Św. Mateusza VI/2—4.*

² *Koran*, rozdz. 2, 223 (w) *Wersety z Koranu*, nakładem Muftiatu. Sarajewo 1935.

³ *Talmud, Traktat Teanith 21* według D. Rundo.

⁴ Tamże, *Chagiga 5.*

⁵ F. W. Faber *Dobroć*. Poznań 1948, s. 77.



Dżentelmen wstydzi się. Uniesieni serdecznością albo tylko próżnością szafujemy obietnicami. Mówi się, że nie one nie kosztują. Czy rzeczywiście?

Nic w chwili obiecywania, ale po zaciągnięciu wielu zobowiązań następuje kryzys. Kto łatwo i hojnie obiecuje, ten z trudem i skąpo dotrzymuje, sprawia zawód, traci szacunek i sympatię. Więc jednak kosztują.

„Dżentelmen wstydzi się, gdy jego słowa są piękniejsze niż postępowanie” (Konfucjusz) i gdy czyny nie mogą sprostać obietnicom...

Lubię powtarzać, że odpowiedzialność za rozczarowania ponosi przede wszystkim fantazja rozczarowanego, ale częścią winy można obciążyć tego, kto fantazję pobudził. Sytuacja ta powstaje na ogół w męsko-damskich stosunkach, ale nie tylko. Oto przykład: K. wspomina, że kiedyś za dobrą odpowiedź nauczycielka obiecała dać jej piękny prezent. K. marzyła o prawdziwej lalce, nie o takiej, którą sama mogła sobie uszyć ze szmat. Piękny prezent mógł być dla niej tylko lalką. Więc czekała na nią. Przychodziła do szkoły trochę wcześniej, by przed drzwiami czekać na panią. Kilka razy pani przeprosiła ją, bo zapomniała. Wreszcie przyniosła. Rzeczywiście piękne... jabłko. „Gdybym to jabłko otrzymała od razu — mówi K. — skakałabym z radości, gdyż rzadko jadłam takie smakołyki, ale po tym oczekiwaniu...!”

Inna sprawa, że czasami trudno jest uniknąć wzbudzenia nieuzasadnionych oczekiwań. Gorzkim półzartem: gdy dajesz po raz pierwszy, nazywają cię dobroczyńcą; gdy dajesz po raz drugi, sądzą, że spełniasz swój obowiązek; gdy dajesz po raz trzeci, zastanawiają się, czy nie ma w tym wyrachowania; a gdy nie dasz za czwartym razem, spojrzą na ciebie jak na kogoś, kto zawiódł zaufanie.



DAR W REWANŻU

Dziękuję i... Lubię powtarzać, że „wdzięczność jest cechą szlachetnych dusz”, ale sądzę też, że odwzajemnianie się jest prawem naturalnym — nie wiem, czy psy i delfiny mają szlachetne dusze, a przecież i one okazują wdzięczność. Choć im trudniej.

Człowiekowi łatwiej, bo dysponuje słowem. Powie „dziękuję”, powie „jestem wdzięczny” i...? Nie, to nie koniec, często czuje, że to mało. Słusznie. Zdawkowych podziękowań nawet się nie słyszy, „słyszy się” dopiero ich brak. „Nawet nie podziękował...”

Oczywiście są sposoby wzmacniania podziękowań, ot choćby przez powtarzanie ich po pewnym czasie i przy świadkach, przez okazanie, jak bardzo dar jest trafiony („Właśnie o czymś takim marzyłem”), a przede wszystkim przez okazanie radości (najcenniejszą nagrodą dla dawcy inspirowanego przyjaźnią i empatią jest radość obdarowanego); jednakże człowiek wdzięczny chce na dar odpowiedzieć także darem, szuka okazji do rewanżu i cieszy się, gdy taka nadarzy się. M. pomogła znajomemu w znalezieniu pracy. Następnym razem spotkali się dopiero po latach. M. wybierała się pod Warszawę z mnóstwem rzeczy. Znajomy zaoferował się, że odwiezie ją samochodem. „Jak szczęśliwie złożyło się — powtarzał jadąc — że spotkaliśmy się akurat teraz, gdy mogę coś zrobić dla pani”.

Bywa i tak, że wypatrywanie okazji do rewanżu idzie aż po życzenie... złego. W takich przypadkach wdzięczny niemal pragnie, by jego dobroczyńca popadł w kłopoty, z których on pomógłby mu się wydobyć, choć, oczywiście, „(...) to lotrostwo życzyć przyjacielowi upadku, iżbyś go ty podźwignął” (Ł. Górnicki). Marzenie z 1982 roku:

„Gdyby tak Niemcy w RFN wpadli w nędzę, a my, zamożni, byśmy mogli zbombardować ich paczkami żywnościowymi, tak jak oni nas nimi zasypują!”

Splata długu wdzięczności w tej samej walucie jest często niemożliwa.



W jakiej walucie. Jak biedny może odwdziżyć się bogatemu?

Człowiekowi, którego na wszystko stać, nie sprawi przyjemności dar przedstawiający głównie wartość pieniężną, ale może go ucieszyć dobrze pomyślana drobnostka, jeśli nieomylnie wyraża przyjazne uczucia. A jeszcze bardziej dar nierzeczowy. Bo to nieprawda, że są ludzie, którym niczego nie brak, choć prawdą jest, że wielu niezaspokojonych potrzeb trudno się domyślić.

Inaczej mówiąc, odpłacać się można niekoniecznie w tej samej formie, w której się dar otrzymało, a gdy wychodzimy poza wąski krąg dóbr materialnych, możliwości rozszerzają się tak bardzo, że w wielu sytuacjach mamy okazję z nadwyżką wywiązać się z naszych długów wdzięczności...

Choć nie od razu...



Nadmierny pośpiech. Rewanż rzeczowy wymaga zwykle okazji ... więc czekania...więc pamięci. I tu szkopuł: „Wdzięczność ma krótką pamięć”. Dlaczego? Może dlatego, że przyjemnie jest wierzyć, że nikomu nic nie zawdzięczamy, a może dlatego, że to, co już otrzymaliśmy — i to darmo! — traci na wartości w porównaniu z tym, o czym jeszcze marzymy. Tak czy inaczej „(...) uczucie względem większości dobroczyńców bywa podobne do wdzięczności dla dentystów. Mówimy sobie, że wyświadczono nam dobrodziejstwo, że uwolniono nas od cierpienia, lecz przypominamy sobie ból, jaki nam zadano, i zgoła nie kochamy ich czule” (N. S. Chamfort). W rezultacie im dłużej odkładamy spłatę długu wdzięczności, tym mniejszym się on wydaje. To przemawiałoby za pośpiechem w jego spłaceniu.

Z drugiej strony nadmierny pośpiech nie tylko utrudnia lub uniemożliwia znalezienie najwłaściwszej „waluty”, ale także bywa nietaktem. „Zbyt wielki pośpiech w spłacie zobowiązań jest poniekąd niewdzięcznością” — zauważył La Rochefoucauld. Taki pośpiech nasuwa podejrzenie, iż wdzięczność jest dla obdarowanego nieznośnym ciężarem, którego chce się pozbyć i o którym chce zapomnieć jak najprędzej. Zdaje się mówić: „Nie chcę mieć wobec ciebie żadnych długów. Oddaję, spłaciłem, jesteście kwita”.



Łańcuszek spłacanych długów. Z mieszanymi uczuciami patrzę na kogoś, kto prowadzi skrupulatny rachunek brania-dawania. Z jednej strony cenię jego ambicję, wiem, że „człowiek słusznie dumny (...) zwykle za doznane dobrodziejstwa odwdzięcza się z nawiązką” (Arystoteles), z drugiej podejrzewam go o pychę i, niekiedy, o kierowanie się myślą „żeby nikt nie sądził...”.

Uwzględnijmy i to, że postawa: „nikomu nic nie zawdzięczam” i „każdemu się rewanżuję” jest po prostu nierealna. Nawet w innej formie, nawet po długim czekaniu na okazję nie każdemu zdołamy się zrewanżować. I nie widzę w tym tragedii. Proponuję, byśmy odróżniali ciepłe i miłe uczucia wdzięczności od gryzącej myśli o rewanżu. Nie każdy, kto się rewanżuje, jest wdzięczny, i nie każdy, kto jest wdzięczny, rewanżuje się.

Nerwowe szukanie okazji do spłacenia długu wdzięczności nie jest jedyną i jedynie możliwą reakcją na obdarowanie. Otrzymanie daru zwiększa życzliwość nie tylko w stosunku do dawcy, ale także w stosunku do innych osób związanych z nim, podobnych do niego, a wreszcie — do wszystkich ludzi. T. miał szczęście, bo wędrując przez Szwajcarię autostopem nie czekał długo na podwiezienie. „Szwajcarzy to dobrzy ludzie” — mówi teraz i gotów jest gościnnie przyjąć każdego Szwajcara, który zawita do Polski. Na afrykańskich bezdrożach murzyński

szczęp pomógł wydobyć z bagna ciężarówkę — teraz kierowca jej odnosi się z sympatią do każdego Murzyna. Jeśli kiedyś obcy pomogli mi, gdy na ulicy skręciłem nogę, to będę się czuć bardziej zobowiązany do udzielenia pomocy każdemu w podobnej sytuacji. „Częste otrzymywanie pomocy zwiększa gotowość świadczenia pomocy”¹. W ten sposób powstaje łańcuszek spłacanych długów.

Przy samochodzie stał jego właściciel i wskazywał na kanister postawiony na skraju szosy. Wiele minęło go pojazdów, nim się jeden zatrzymał, a jego kierowca wlał trochę benzyny do pustego baku. Na pytanie: „Ile się należy?” — wybawca odpowiedział z uśmiechem:

„Nie wiem. Taka dolewka nie ma ceny. Niech się pan odwdzięczy komuś innemu”.



Jedno zwarte My. W stosunkach z najbliższymi prowadzenie rachunku brania i dawania jest wręcz niemożliwe. Im bliższe są związki rodzinne, tym obfitsze, bardziej wartkie jest krążenie wszelkich dóbr. W prawdziwie bliskich — dając prawie nie czujemy, że dajemy, a biorąc prawie nie czujemy, że bierzemy. Nie ma tu miejsca na przeżycia hojności i zobowiązania. Gdy w małżeństwie mąż pielęgnuje chorą żonę albo żona wyręcza zmęczonego męża w załatwianiu spraw, które do niego należą, nie widzą swego postępowania w kategoriach dawać-przyjmować. Stanowią jedno zwarte My.

Tak samo w bliskich stosunkach przyjacielskich, a niekiedy nawet koleżeńskich istnieje „(...) taki poziom wzajemnych stosunków — cytuję lotnika Saint-Exuperyego — na którym tak wdzięczność, jak i litość tracą swoje znaczenie (...). Nie słyszałem nigdy, żeby ten, kto uległ wypadkowi, dziękował ratującym go kolegom (...). Dlaczego zresztą mielibyśmy mu dziękować? On tak samo miał prawo do naszego życia. Byliśmy konarami tego samego drzewa. I byłem dumny z kolegi, który mnie ratował”.

Czuć się częścią gigantycznego My i utożsamiać się z każdym człowiekiem do tego stopnia, by dając mu coś mieć wrażenie, iż daje się samemu sobie, to ideał na miarę mistyka, ideał chyba nieosiągalny; ale zbliża się do niego ten, kto wielki, coraz większy krąg ludzi traktuje jak bliską rodzinę, jak przyjaciół, związanych solidarnością w obliczu trudności i tragedii życia.

POWIEDZIAŁEM W TEJ DRUGIEJ CZĘŚCI

- dawanie prezentów jest prastarym zwyczajem, a ich przedmiot zależy od możliwości i fantazji; dar, pojęcie szersze niż prezent, obejmuje usługi i akty pomocy; te nierzeczowe świadczenia zwykle przedstawiają dla otrzymującego większą wartość niż rzeczowe; wartości daru — ta obiektywna, ta dla ofiarodawcy i ta dla otrzymującego — bywają zbieżne albo rozbieżne;
- drobne dary, nie wymagające prawie żadnej ofiary, też spełniają doniosłą rolę indywidualną i społeczną;
- warunkiem szczególnej trafności daru, a więc jego dużej wartości dla otrzymującego, jest odkrycie jakiejś jego silnej, a niezaspokojonej potrzeby;
- symboliczna wartość daru ma często większe znaczenie niż jego wartość obiektywna;
- darowi przydają wartości ciepłe słowa, uśmiech i radość dającego;
- a ujmują mu jej okazanie zniecierpliwienia, niechęci lub żalu, a także wypominanie i rozgłaszanie;

¹ A. Potocka-Hoser *Wyznaczniki postawy altruistycznej...*, s. 32.

- to, co dajemy i jak dajemy, świadczy o naszej inteligencji, charakterze i kulturze;
- wdzięczność wyraża się w ładnym podziękowaniu i w rewanżu, którego postać może być bardzo różna od postaci daru;
- adresatem rewanżu może być osoba trzecia;
- na najwyższym poziomie zacierają się pojęcia daru i rewanżu, a zastępuje je poczucie wspólnoty.

Podobnie jak otworzyłem książkę cytatem z Marka Aureliusza, tak ją zamknę:

*„Zgoła nie w tym rzecz,
że się rozprawia o cechach męża dobrego,
lecz że się nim jest”.*

Odwiedzaj stronę www.stefangarczynski.pl !

Nota biograficzna

Stefan Garczyński (1920—1993) — pisarz, publicysta, nauczyciel. Przed wojną ukończył warszawskie gimnazjum im. Mikołaja Reja i rozpoczął w Poznaniu studia prawno-ekonomiczne. Po wojnie ukończył studia w Akademii Nauk Politycznych, pracował w MHZ, w Banku Handlowym i ZAiKS, parając się równocześnie publicystką na tematy literackie i gospodarcze. W r. 1951 oskarżony o „pisanie i próby rozpowszechniania prac mogących wyrządzić istotną szkodę interesom państwa”.

Skazany na 4 lata więzienia, odzyskał wolność dzięki amnestii w r. 1953.

Od tej pory zarabiał na życie udzielaniem lekcji angielskiego i pisaniem na tematy związane z psychologią i kulturą. Wydał 25 książek, niejedna miała kilka wydań.

Jest też autorem popularnych książek dla dzieci.

Ta niewielka książka jest psychologiczną rozprawką spełniającą prawie rygory naukowe — systematycznie rozpatruje najróżniejsze aspekty tematu i powołuje liczne źródła, w tym naukowe. Jednocześnie jest napisana lekko i może być doskonałym materiałem pomocniczym dla studentów i uczniów, którym przyjdzie zająć się tematem cnót altruizmu, skromności, współodczuwania, uczynności, dobrych manier itd.

Gdy czyta się o tych cnotach i ich niuansach, to jakby robiło się rachunek sumienia: a jaki ja jestem? Jest to książka dla młodzieży ale także rodziców, którzy chcą wszczepić dzieciom wartościowe zasady.